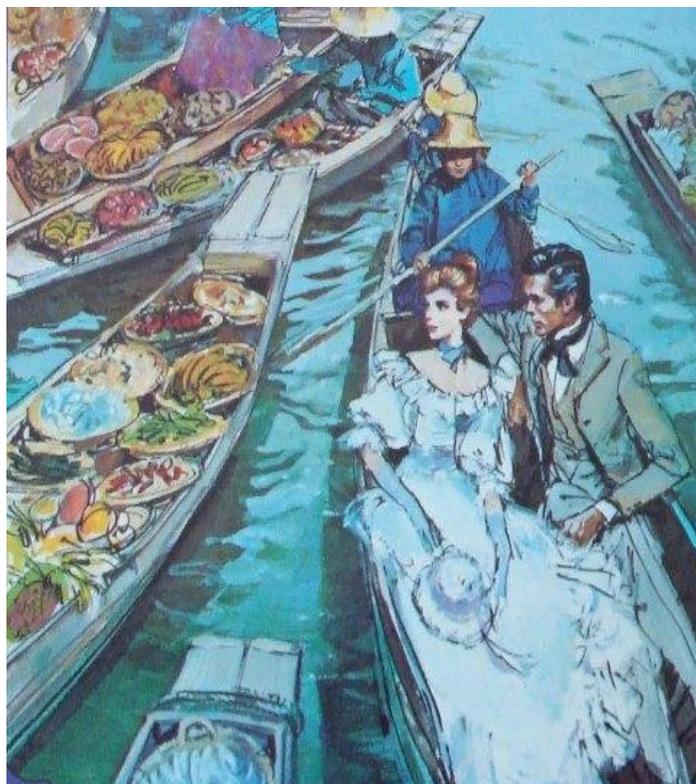




**Barbara Cartland**

# **Święte szafiry**

**Sapphires in Siam**



Całkowicie znudzony przelotnymi miłośkami i życiem w Londynie, Markiz Vale udaje się w podróż na Daleki Wchód, gdzie poznaje i zakochuje się w upartej Ankanie Brook. Obydwoje zanurzają się w świat intryg...

## Od Autorki

Podczas mojej czwartej wizyty w Tajlandii przebywałam w Czieng-mai na północy oraz w Pattaya na południu. W popularnym nadmorskim kąpielisku, które było zarazem małą wioską rybacką, na wzgórzu nad zatoką znalazłam prastarą świątynię, dokładnie taką, jaką przedstawiłam na kartach powieści.

Tajlandia jest jedynym spośród znanych mi krajów buddyjskich, gdzie wizerunki świętych inkrustuje się małymi złotymi blaszkami. Wiele autentycznych informacji w mojej książce pochodzi z niezwykle interesującego opisu podróży diuka Sutherlanda do Syjamu\* i Malezji w roku 1889.

\* Tajlandia do 1974 r. nazywała się Syjmem. Ponieważ akcja powieści toczy się w końcu XIX w., w dalszym tekście autorka (a za nią tłumaczka) stosuje dawną nazwę.

Król Czulalongkorn upodobał sobie towarzystwo tego arystokraty i zapraszał go na uroczyste obiady do swojego pałacu. Wprawdzie nie było w Syjmie punkas, lecz służący w purpurowych liberiach powiewali wachlarzami z wielkich piór nad głowami gości, a miejscowi muzykanci wygrywali im syjamskie melodie na przemian z urywkami Cyganki lub Fausta.

W zeszłym roku odmalowany złotą farbą pałac królewski w Bangkoku wydał mi się oszałamiająco piękny, hotel „Oriental” - najlepszy na Wschodzie, Pattaya zaś - urzekająca.

## Rozdział pierwszy

1898

Markiz Vale leżał na plecach z zamkniętymi oczyma i pławił się w nudzie. Nudna była miękkość łoża, duszność pokoju i woń tuberozy, rośliny, którą wstawiono tu, by rozpaliała zmysły. Nudą emanowało ciepłe i uległe ciało istoty spoczywającej u jego boku. Vale znał dobrze to uczucie, nie było dlań niczym niezwykłym. Tym razem jednak obezwładniło go już podczas drugiego spotkania z lady Sybillą Westoak, a więc niebywale prędko. Przyczyną znudzenia była - zdaniem markiza - banalność nowej przygody miłosnej. Mógłby dokładnie przewidzieć, co zostanie powiedziane i co się wydarzy w ciągu całego wieczoru. Przepatrzywszy w pamięci kilkanaście poprzednich romansów stwierdził, że niczym się nie różniły. Toteż apatia ogarnęła go, zanim lady zdała sobie sprawę, co się stało.

Trudno się dziwić markizowi, że od każdej kochanki oczekiwał czego innego. Wszystkie momenty zwrotne w jego życiu były dziwnie nieoczekiwane. Po ukończeniu Oksfordu wstąpił do armii i dowiódł, że jest dobrym żołnierzem oraz świetnym dowódcą, zwłaszcza na polu walki. Niemniej jednak, ze względu na silną osobowość

i talent dyplomatyczny, został wysłany do Indii jako adiutant wicekróla.

Gdy zażywał rozkoszy Wschodu, w życiu jego nastąpił kolejny niespodziewany zwrot: został spadkobiercą olbrzymiej fortuny po dziadku ze strony matki. Był to bodziec, by uciec od dworskich parad i konwenansów. Markiz porzucił armię i zaczął podróżować. Niebawem był za pan brat z ludźmi najdziwniejszych nacji, zawodów i wyznań, często też popadał w nie lada

tarapaty.

Gdy zmarł jego ojciec, a starszy brat poległ na polu walki, Vale, znów nieoczekiwanie, odziedziczył tytuł i majątek. Niebawem znalazł się, jako lew salonowy, w nader wyrafinowanym i dowcipnym towarzystwie, którego „duszą” był książę Walii. Teraz należało się spodziewać, że zostanie persona grata w Marlborough House. I że każda kobieta, którą pozna, będzie dlań miała w oczach zaproszenie.

Z początku markiz był mile zaskoczony, że spotykane przezeń damy z angielskich wyższych sfer tak bardzo różnią się od kobiet, z którymi miewał do czynienia w podróżach. Lecz wkrótce, po paru kolejnych *affaires de coeur* \*, przekonał się - zgodnie z czymś cynicznym powiedzonkiem, że wszystkie koty są szare w ciemności - iż w gruncie rzeczy damy są takie same, i zaczął odczuwać śmiertelną nudę.

\* *Affaires de coeur* (franc.) - sprawy sercowe.

Szczerze mówiąc, podniecała go tylko pogoń za zdobyczą. Dawała mu tyle uciechy i satysfakcji co wspinaczka w Himalajach. Również zwycięski finał, kiedy uroczą damą składała broń i oddawała mu się, był dlań źródłem podniecia.

Niestety tym razem nic takiego nie nastąpiło.

Lady Sybilla przez dwa miesiące tropiła go i ściagała niczym jelenia, zanim jej uległ. Była niezwykle piękna. Kiedy ujrzał ją po raz pierwszy na balu w pałacu Marlborough, po miłej kolacji z księstwem Walii, pomyślał, że jest wyjątkowa. Gdy jednak w końcu go zdobyła, miał mu się poddać, doszedł do wniosku, że niczym nie różni się od innych kobiet, które w ciągu ostatnich lat unieszczęśliwił lub znieważył porzuceniem.

Bez wątplenia lady Sybilla była czarująca. Miała urodę greckiej bogini, a jej

włosy barwą swą przypominały niebo o zmierzchu. Przezrocyste niebieskie oczy były jednak bez wyrazu, nigdy też nie powiedziała nic, co byłoby godne zapamiętania. Dawała mu wiele rozkoszy, to prawda. Nie mógłby temu zaprzeczyć. Jednakże wciąż pragnął czegoś więcej niż satysfakcja erotyczna. Ale czego - sam nie umiałby powiedzieć.

Odrzucił koronkowe prześcieradło, zamierzając wstać z łóżka, a wtedy Sybilla dobyła z siebie żalosne westchnienie:

- Chyba mnie nie opuszczasz, Osmondzie?

- Już czas, bym wrócił do domu.

- Ależ jest bardzo wcześnie. Nie chcę, byś odchodził. Markiz nie odpowiadał, Sybilla więc mówiła dalej, pieszcząc dłońmi jego ciało:

- Nie ma na świecie wspanialszego kochanka. Jeżeli Edward wyjedzie, spotkamy się jutro wieczorem.

Markiz wiedział, że już się więcej nie spotkają, lecz przezornie nie odezwał się ani słowem. Z trudem uwolnił się z jej objęć i wstał. Sybilla opadła na poduszki i rzekła z irytacją:

- Nie pojmuję, dlaczego mnie opuszczasz akurat teraz, skoro wiadomo, że aż do piątej nikt nam nie przeszkodzi.

- Zapominasz, że muszę być w domu, nim pobudzą się moi służący - odparł.

- Powinni byli już przywyknąć do twoich nocnych powrotów - roześmiała się.

- Ale oczywiście, najdroższy, pozwolę ci odejść teraz, jeżeli przyrzekniesz mi, że dziś wieczorem zjesz ze mną kolację. - Umilkła, a po chwili dodała: - Zresztą zobaczymy się na lunchu w Devonshire House.

Ubierając się szybko i zręcznie, markiz pomyślał, że jedynie dla księżnej warto wziąć udział w tym lunchu. Aczkolwiek niemłoda, wciąż była

zadziwiająca. Ilekroć o niej myślał, uświadamiał sobie, że idealnie uosabia poszukiwaną przezeń bezskutecznie kobiecość. Jako księżna Manchesteru olśniła urodą Londyn. Pamiętał opowieść ojca o niezwyklej aurze niewinności i czystości, którą wokół siebie roztaczała. Później, gdy po śmierci męża zakochała się w markizie Hartington, jej postępowanie było wprost wzorowe. W miejscach publicznych nigdy nie zwracała się do niego inaczej jak z pełnym szacunku dystansem. Przez wiele lat najlepiej poinformowani plotkarze nie mieli pewności, czy markiz jest, czy też nie jest jej kochankiem. Nawet po ślubie z nim pozostała księżną Devonshire i zachowała swoją godność. Żaden mąż nie mógłby sobie życzyć lepiej ułożonej żony.

..Dlaczego tak mało jest podobnych jej kobiet? - westchnął markiz, zapinając koszulę.

Własne doświadczenie nauczyło go, że kobiety zawsze pragną chęłpić się publicznie swymi podbojami i triumfami. Nie dalej jak tydzień temu powiedział do aktualnej pani swego serca:

- Nie wydajesz się zbyt zadowolona, gdy zjawiam się u ciebie, kiedy podejmujesz przyjaciół.

- Ależ zawsze jestem rada, kiedy cię widzę, Osmondzie! - wykrzyknęła Sybilla. - Serce zaczyna mi bić mocniej i pragnę rzucić się w twoje ramiona.

Markiz sarknął z irytacją, że nie życzy sobie takich manifestacji, gdyż potem ludzie biorą go na języki, i mogą narazić na pojedynek z jej mężem. Królowa Wiktoria wprawdzie zakazała pojedynków, ale od czasu do czasu się zdarzają. Tak czy inaczej nie chce zostać wplątany w żadną aferę tego rodzaju, zwłaszcza z powodu kobiety. „W tym całe zmartwienie” - pomyślał. Wszystkie damy, z którymi miał do czynienia, traciły dlań wszelką atrakcyjność w chwili, gdy brał

je w ramiona. Byłby szczęśliwy, gdyby musiał wspinać się po nie na górę Abrahama lub nurkować w głąb oceanu. Tymczasem wystarczyło, by postąpił jeden krok ku którejś, a już podsuwała mu usta.

- Do diabła z tym! Dlaczego właściwie się uskarżam?! - spytał patrząc na swe odbicie w lustrze i wygładzając wieczorowy krawat. Wzruszył ramionami, poprawił długie poły doskonale skrojonego fraka i odwrócił się, by spojrzeć na lady Sybillę, która w pełnej rezygnacji pozie leżała na zmiętej pościeli.

- Dziękuję ci, Sybillo - rzekł głębokim głosem - za wspaniały wieczór.

Gdy kobieta uświadomiła sobie, że kochanek naprawdę odchodzi, usiadła, odsłaniając powabne piersi.

- Jak możesz być tak okrutny i odchodzić, kiedy pragnę, byś został? - spytała z wyrzutem.

Markiz ujął jej wyciągnięte dłonie i podnosząc je niedbale do ust, powiedział:

- Śpij, Sybillo. Spodziewam się, że jutro będziesz najpiękniejszą istotą w Devonshire House.

Jej palce zacisnęły się na jego dłoni.

- I spędzimy razem jutrzejszą noc - rzekła kusząco. - Och, Osmondzie, tak bardzo cię kocham. Nie wiem, jak wytrzymam bez ciebie tak długo!

Uśmiechnął się do niej, z pewnym wysiłkiem uwolnił rękę z jej uścisku i szybko opuścił sypialnię.

Gdy usłyszała jego kroki w korytarzu wiodącym do schodów, wstała z łóżka, dziwiąc się, że była na tyle głupia, by mu pozwolić odejść. Jednakże oparła się impulsowi, który jej kazał biec za kochankiem. „Zatrzymam go na dłużej jutrzejszej nocy” - przyrzekła sobie.

Kiedy markiz zszedł po schodach do holu, lokaj, drzemiący na krześle,

poderwał się pośpiesznie, by mu otworzyć frontowe drzwi. Nocny gość tymczasem zastanawiał się, jak powiadomić kochankę, że już jej nigdy nie odwiedzi. Nie może przecież oznajmić jej wprost, że czuje się nią znudzony. Musi znaleźć przekonujące usprawiedliwienie. Zazwyczaj wiązał zakończenie romansu z jakimś nagłym wezwaniem, na przykład na wyścigi konne w Newmarket lub na otwarcie sezonu myśliwskiego w Szkocji. Chociaż w tej chwili nie miał pod ręką żadnego sensownego wykrętu, był pewien, że do jutra coś wymyśli.

Noc była chłodna, lecz odesłał powóz, gdyż z Westoak House do jego rezydencji było bardzo blisko. Szedł wolnym krokiem, a przed oczyma jawiły mu się śnieżne górskie szczyty lub sztormowe fale Zatoki Biskajskiej.

- Chcę pobyc chwilę z dala od Anglii - rzekł do siebie.

I zaraz poczuł, że duszna i gęsta od woni perfum atmosfera sypialni Sybilli rozprasza się w rześkim powietrzu. Gdy dotarł do domu, był zmarznięty, ale pełen wigoru. Oznajmił dyżurującemu w nocy lokajowi, że o ósmej rano, przed śniadaniem, chce zażyć konnej przejażdżki. I pośpieszył na górę, do swojej sypialni, gdzie czekał na niego pokojowiec. Rozebrał się prawie w milczeniu, jako że o tej porze nie był rozmowny. Ale po wejściu do łóżka, wbrew oczekiwaniom, nie od razu zapadł w sen. Nurtowało go pytanie, dlaczego kobiety tak szybko mu brzydą. Wiedział, że przyjaciele nie uwierzyliby mu, gdyby im wyznał, że ma już dość Sybilli i nigdy więcej się z nią nie zobaczy. Była uważana za jedną z najpiękniejszych kobiet Londynu. A przecież miasto szczyciło się obfitością niepospolitych piękności. Wszystko można było spotkać w pałacu Marlborough, ponieważ księżę Walii, choć niemłody już, zdradzał tę samą co za młodu penchant\* do ślicznych twarzątek.

\* **Penchant (franc.) - skłonność.**

Z pewnością zażywał rozkoszy miłości, ilekroć nadarzała się sposobność. Markiz nie widział powodu, by nie iść śladem jego królewskiej wysokości. Nie tylko dlatego, że nie uśmiechały mu się więzy małżeńskie, mimo iż krewni przekonywali go, że powinien postarać się o dziedzica. Był po prostu niezwykle wybredny i nigdy nie wzięłby sobie kochanki z niższej sfery. Miałby płacić za przyjemność?! Uważał, że posiadanie - wzorem większości członków klubu - małego, dyskretnego domku w Lesie Świętego Jana byłoby dlań poniżające.

Jakże pragnął odmiany po przygodach z wytwornymi damami z wyższych sfer! Wszystkie one - wiedział o tym doskonale - były zazdrosne o jego uczucia, lecz interesowały się nim jedynie wtedy, gdy był obecny.

Przewraca! się niespokojnie w łóżku, powtarzając: „Jestem znudzony! Znudzony! Znudzony!” Słowa te, wracając echem do jego uszu, w końcu go uśpiły.

Następnego ranka markiz stwierdził, że nie tylko noc była mroźna. Pomiędzy drzewami Hyde Parku hulał lodowaty wiatr. Konnych jeźdźców było niewielu. Po kilku ćwiczeniach stwierdził, że ostrość wiatru jest niezmiernie pobudzająca. Wrócił do domu na śniadanie o godzinie dziewiątej bardzo głodny.

Jak zwykle kredens w jadalni ugiął się pod ciężarem srebrnych naczyń kuszących różnaitością potraw. Na stole leżał krążek złocistego masła, pochodzącego z Vale Park w Hertfordshire, od jego krów rasy Jersey. Obok stał słoik miodu z własnej pasieki. Prócz tego były tam gorące rogaliki oraz mały bochenek chleba o kształcie domku, upieczony dlań przez domowego piekarza jeszcze przed świtem.

Markiz jednak był powściągliwy w jedzeniu. Nie chciał utyć. Nie miał

zamiaru, będąc w wieku księcia Walii, wyglądać tak ja on. Dlatego uprawiał tyle ćwiczeń fizycznych. Ilekroć przebywał na wsi, zawsze, niezależnie od pogody, objeżdżał swoją posiadłość konno. Powozu używał jedynie wtedy, gdy wybierał się na proszoną kolację. W rezultacie nie miał na sobie ani grama zbędnego tłuszczu. Gdy wstał od śniadania, pół tuzina talerzy na stole pozostawało nie tkniętych. Zdawał sobie sprawę, że inni na jego miejscu nie zwróciliby na to uwagi lub, przeciwnie, uznaliby to za marnotrawstwo. Ale on wiedział, że naczynia zostaną opróżnione przez służbę. Podczas swych licznych podróży musiał się często zadowalać bardzo skąpymi racjami jedzenia, dlatego też nauczył się cenić to, co je. Niemniej opuszczając jadalnię myślał, że jakakolwiek krytyczna uwaga zaniepokoiłaby i zbulwersowała domowników. Prowadzili mu dom dokładnie tak, jak za życia ojca, choć bez wątpienia od czasów dziadka nastąpiło tu kilka zmian.

Markiz wszedł do gabinetu. Na biurku leżały listy, pozostawione przez sekretarza, pana Bowesa. Oczywiście te, które dotyczyły interesów bądź umów, były otwarte. Inne natomiast, nasycone wonią perfum lub zaadresowane wytwornym pismem, odłożone na bok czekały nań nie tknięte. Vale usadowił się wygodnie, by zacząć lekturę. Drzwi otworzyły się i stanął w nich główny lokaj.

- Jego ekscelencja ambasador Syjamu, milordzie - zapowiedział.

Markiz spojrzał zdumiony. Znał ambasadora z przelotnych spotkań podczas oficjalnych parties, lecz nie znajdował powodu do wizyty jego ekscelencji w swoim domu o tak wczesnej porze.

Był to mały mężczyzna o siwiejących włosach. Złożył markizowi głęboki ukłon. Gospodarz podniósł się od biurka, by go powitać. Wtedy gość przemówił doskonałą angielszczyzną:

- Proszę o wybaczenie, milordzie, że ośmieliłem się niepokoić pana tak wcześnie, lecz ponagliła mnie wiadomość z Bangkoku, którą polecono mi przekazać panu bez zwłoki.

- Proszę usiąść, ekscelencjo - wskazał mu miejsce markiz, zastanawiając się, cóż to może być za wiadomość.

Ambasador usiadł na krześle z prostym oparciem i gdy markiz uczynił to samo, rzekł:

- Zostałem upoważniony przez jego wysokość króla Czulalongkorna do poinformowania pana o śmierci Calvina Brooka.

Markiz spojrział nań zaskoczony.

- Calvin Brook nie żyje? Jest pan tego pewny?

- Obawiałem się, milordzie, że wiadomość ta wstrząśnie panem, lecz zgodnie z wolą króla musiałem ją panu przekazać jako pierwszemu. - Zamilkł, by dać markizowi czas na oswojenie się z nowiną, po czym podjął: - Ponadto jego wysokość byłby niezmiernie wdzięczny, gdyby, jeżeli to możliwe, zechciał pan złożyć mu niezwłocznie wizytę w Bangkoku.

Markiz wpatrywał się w ambasadora ze zdumieniem. Był głęboko poruszony wiadomością o śmierci przyjaciela, lecz wydawało mu się dziwne, że król Czulalongkorn pragnie spotkać się z nim osobiście. Zastanowił się, jaka może być tego przyczyna, i po chwili miał gotową odpowiedź. Bez wątpienia wiadomość ta kryje w sobie jakąś tajemnicę. Coś, co pociągało za sobą komplikacje natury dyplomatycznej, a może nawet politycznej.

Vale poznał Calvina Brooka kilkanaście lat temu w Indiach. Powiedziano mu wtedy, że to niezwykle i nietuzinkowy człowiek. Domyślił się, bez niczyich sugestii, że Brook jest uwikłany w coś, co nazywano „wielką grą”. Innymi

słowy, pracował w kontrwywiadzie, którego zadaniem było wywoływanie możliwie największych zamieszek i niepokojów wśród mieszkańców terenów przygranicznych, po to, by powstrzymać ekspansję Rosji na Indie. Później nieoczekiwanie Vale spotkał Calvina Brooka w Nepalu. Doszedł wtedy do wniosku, że człowiek ten jest wmieszany w niezliczone afery polityczne, dotyczące nie tylko Indii, lecz również innych krajów Wschodu. Potem wiele podróżował z Calvinem Brookiem. Spoglądając teraz wstecz pomyślał, że był to najbardziej ekscytujący okres w jego życiu. Stawiał czoło niebezpieczeństwom morza, dżungli oraz pustyni. Pomagał tłumić bunty, przewidywać ich wybuchy i przynajmniej kilka razy uniknął śmierci z rąk zamachowców. Tych doświadczeń nigdy nie zapomni. Opuścił Calvina Brooka dopiero wtedy, gdy był zmuszony wrócić do domu, do umierającego ojca. I oto teraz dowiaduje się, że przyjaciel nie żyje, że poniósł największą w swoim życiu stratę. Przed wyjazdem do Anglii dowiedział się, że Brookowi ofiarowywano rozmaite godności i dystynkcje - wszystkie odrzucił. Ponad sławę przekładał anonimowość. Nie życzył sobie żadnych zobowiązań ani zależności. Interesowały go wyłącznie „grube sprawy”. Zawsze jakimś cudownym sposobem potrafił dotrzeć do sedna zagadki i znaleźć rozwiązanie.

Wszystko to przemknęło przez umysł markiza, zanim odezwał się do ambasadora:

- To nie może być prawdą! Nie mogę uwierzyć, że Brook nie żyje.
- W gruncie rzeczy uważam, że tkwi w tym jakaś tajemnica - odparł ambasador spokojnie. - I z tej właśnie przyczyny jego wysokość prosi pana o przybycie.

Markiz, znając dobrze mentalność ludzi Wschodu, był pewien, że ambasador

z właściwą sobie przenikliwością doszukał się w otrzymanej informacji czegoś więcej, aniżeli wyrażały słowa. Po długim namyśle rzekł:

- Jadę natychmiast! Zawiadomi pan jego wysokość o moim przyjeździe?

- Wasza lordowska mość jest niezwykle łaskaw - ambasador promieniał szerokim uśmiechem. - Kroi będzie uszczęśliwiony. - A kiedy Vale powstał z miejsca, dodał: - Jest jeszcze jedna rzecz do załatwienia. Byłoby wielką uprzejmością z pańskiej strony, milordzie, gdyby pan, jako dobry znajomy Calvina Brooka, przekazał jego córce wiadomość o śmierci ojca.

- Zupełnie zapomniałem, że miał córkę - stropił się markiz.

- Ona jest w tej chwili w Londynie pod opieką dotki. lady Brook, wdowy po bracie Calvina.

- Oczywiście zadzwonię do niej - obiecał Vale.

- To wielka uprzejmość z pańskiej strony - ucieszył się ambasador. - Obawiam się, że będzie bardzo zgnębiona stratą ojca.

Markiz podzielał jego obawę. Przypomniawszy sobie teraz, że istotnie pewnego razu przed paru laty Calvin opowiedział mu o śmierci żony i o tym, że jedyne dziecko, córkę, pozostawił w Kairze.

- Było to pół roku przed moim wyjazdem na Wschód - oznajmił wówczas. - Zamieszkała u przyjaciół, którzy wezmą ją ze sobą do Anglii. Tam będzie uczęszczała do szkoły. - Westchnął i mówił dalej: - Dotychczas podróżowała ze mną, lecz teraz najważniejsza jest jej należyta edukacja. Niemniej brak mi jej, bardzo brak.

Markiz, wysłuchawszy go, pomyślał, że przecież on jest dla Brooka o wiele lepszym kompanem aniżeli dziecko. A teraz przypomniał sobie niepokój Calvina z czasu ich ostatniej wspólnej wyprawy. Wędrowali wtedy w wielkim utrudzeniu

przez Burmę do Syjamu. Brook zapytał go, czy podjąłby się roli opiekuna jego córki, gdyby jemu się coś przytrafiło.

- Zrobię wszystko, o co poprosisz - odparł markiz beztrąsko. - Ale, na miłość boską, uważaj na siebie.

- Po krótkim milczeniu dodał: - Jesteś zbyt cenny, by zginąć od jadowitego żądła lub umrzeć od tropikalnej gorączki gdzieś w dżungli, setki mil od najbliższego lekarza.

- Postaram się, by nic takiego mi się nie przytrafiło - roześmiał się Calvin. - W rzeczywistości tam, dokąd podążamy, można o wiele łatwiej dostać cios nożem w plecy lub kulę w środek czoła nie wiedząc nawet, kim jest napastnik.

- Cieszę się, że mnie ostrzegłeś - zaśmiał się z kolei Vale.

Przypomniał sobie jeszcze, że zanim wyruszyli naprzeciw owym niebezpieczeństwom, Brook wysłał do Anglii list. Poinformował swoich doradców prawnych, że w przypadku jego śmierci opiekunem córki Ankany zostanie lord Osmond Skelton-Vale.

- Tak, to jej imię! - wykrzyknął markiz. - Ankana!

- W języku syjamskim znaczy to „piękna kobieta” - wyjaśnił ambasador.

- Miejmy nadzieję, że jest godna swego imienia - zakończył markiz.

Wkrótce po rozmowie z ambasadorem Syjamu markiz opuścił swój dom, by udać się w stronę Belgravii, gdzie - jak się dowiedział - panna Ankana Brook przebywa ze swoją ciotką. Był ciekaw, czy w jakikolwiek sposób przypomina ojca, który był bardzo przystojnym mężczyzną. A może, przeciwnie, jest płochliwa, niezgrabna i niezdarza, jak wszystkie młode Angielki, które miał okazję porównywać z dziewczętami innych nacji. Był oczarowany gracją i urodą Hindusek. Dzieci hinduskie ze swymi ogromnymi czarnymi oczami wyglądały

jak wzięte z książkowych ilustracji. To samo można było powiedzieć o kobietach z Cejlonu. Przyszło mu do głowy, że na Zachodzie próżno by szukać równych im piękności. „Zbyt wielkie, nazbyt ciężkie i masywne” - stwierdził w myślach, akurat w chwili, gdy jego lokaj dzwonił do drzwi domu, w którym mieszkała Ankana.

Pytając o pannę Brook zajrzał do gustownie, lecz banalnie umeblowanego saloniku. Był pewien, że niczym się on nie różni od wszystkich innych w okolicy. Pomyślał, że Calvin nie urządziłby go tak konwencjonalnie. Widywał go zawsze w sarongu, jeżeli było upalnie, albo zanurzonego po pas w błotnistej wodzie, gdy brnęli przez malajskie dżungle.

Kiedy otworzyły się drzwi, spojrzał zaskoczony na stojącą w nich dziewczynę. Jak na Angielkę była mała, ledwie na pięć stóp, i bardzo szczupła. Włosy miała ciemne, a oczy zdawały się ogromne w drobnej, szczerej twarzy. Niczym nie przypominała dziewczyny, którą markiz spodziewał się zobaczyć. Toteż wpatrywał się w nią bez słowa.

Gdy odsunęła się od drzwi, w jej ruchach dostrzegł - bardziej aniżeli w wyglądzie - pewne nieuchwytnie podobieństwo do ojca.

- Powiedziano mi, że pragnie mnie pan widzieć - rzekła. - Czy to mój ojciec pana przysłał?

Z tymi słowy wyciągnęła doń rękę, a on ujął ją myśląc, jak drobna wydaje się w jego dłoni. Emanowała życiem. Podobnego wrażenia doznawał, ilekroć dotykał dłoni Calvina - promieniowała energią, jakiej nie odczuł nigdy w niczyjej ręce.

- Może usiądziemy, panno Brook? - zaproponował uprzejmie.

- Mam na imię Ankana - odparła. - O ile mi wiadomo, papa prosił pana o

przejęcie opieki nade mną, w razie gdyby mu się coś przytrafiło. Uważam więc za absurdalne, aby pan zwracał się do mnie w tak oficjalny sposób.

- Zgadzam się - rzekł. - I wybacz mi, że zapytam, ile masz lat, Ankano. Jeżeli mam być szczery, nie myślałem wiele o tobie.

- Mam osiemnaście lat - oznajmiła. Markiz ocenił ją na mniej.

Usiadła na sofie, a gdy on zajął miejsce obok, spojrzała nań pytająco, tak że zawahał się przy doborze słów.

- Obawiam się, Ankano, że mam dla ciebie niedobłą wiadomość.

Zastygła w oczekiwaniu, on zaś mówił:

- Godzinę temu zostałem powiadomiony przez ambasadora Syjamu, iż zgodnie z wolą jego królewskiej wysokości mam poinformować cię o śmierci ojca.

Mówiąc to zdał sobie sprawę, że wybrał formę bezpardonową, prawie brutalną. Nie miał pojęcia, jak złagodzić tę bolesną wiadomość, by była łatwiejsza do przyjęcia.

Ankana milczała przez dłuższą chwilę.

- To nieprawda! - rzekła w końcu. Papa nie umarł!

- Dlaczego tak uważasz? - spytał, przypatrując się jej badawczo.

- Ponieważ wiem, że on żyje - odrzekła. - Być może jest w wielkich opałach, ale żyje, wbrew temu, co twierdzi król.

Markiz nie wiedział, co odpowiedzieć, rzekła więc:

- Co w związku z tym zamierza pan uczynić?

- Jego królewska mość prosi mnie o natychmiastowe przybycie do Bangkoku.

W gruncie rzeczy i ja uważam, że z tą sprawą wiąże się jakaś tajemnica.

- W to mogę uwierzyć! - wykrzyknęła Ankana.

- Ale jestem przekonana, że gdyby umarł, wiedziałabym o tym. - Umilkła, by po chwili podjąć z emfazą:

- Jestem całkowicie i absolutnie pewna, choć oczywiście może mi pan nie wierzyć, że oni nie mają żadnego rzeczywistego dowodu jego śmierci.

- Nie pojmuję, skąd bierzesz tę pewność - rzekł.

- Jestem przeświadczony, że król Syjamu, człowiek wielkiej inteligencji, nie wysłałby takiej wiadomości, jeśli by nie była sprawdzona.

- Gdyby cokolwiek przytrafiło się papie, wiedziałabym o tym - powtórzyła Ankana z całym spokojem.

- Kiedy wyjeżdża pan do Bangkoku?

- Dziś po południu jadę pociągiem do Folkstone. Tam wsiądę na mój jacht i jeżeli dopisze nam szczęście, a morze nie będzie zbyt wzburzone, dotrę do Bangkoku w ciągu miesiąca.

- W takim razie jadę z panem! - oświadczyła dziewczyna.

- To niemożliwe! - sprzeciwił się szybko.

- Dlaczego?

- Po pierwsze dlatego, że nie możesz podróżować ze mną sama, a nie mam zamiaru dobierać ci przyzwoitki.

- Przerwał, popatrzył na nią i podjął: - Po wtóre, gdy dotrę do Bangkoku, rozpocznę poszukiwania twojego ojca. Jeżeli, jak mniemasz, on żyje, na pewno znajduje się w niebezpieczeństwie.

- Innymi słowy, uważa pan, że jest uwięziony - skonkludowała Ankana. - Jeżeli chodzi o moje zdanie, sądzę, że bardziej prawdopodobne jest, iż się ukrywa.

- Dlaczego i przed kim?

Wykonała rękami bardzo wymowny i bardzo nieangielski gest.

- Zna pan papę, podróżowaliście razem - rzekła.

- Wie pan, że jest nieobliczalny.

- To prawda - przytaknął markiz. - Musisz jednak spojrzeć prawdzie w oczy, a prawda ta jest taka, że twój ojciec lubi ryzyko bardziej niż ktokolwiek.

- I sprawiało mu ono ogromną radość - dodała Ankana. - A przy tym miał zdumiewające szczęście. Albo raczej, jak by sam powiedział, specjalną protekcję.

- Czyją? - markiz nie mógł powstrzymać się od tego pytania.

- Mocy, w którą wierzył i której używał. Myślał o niej jako o Sile Życia. W Anglii nazwałbyś ją Bogiem. Powiedziała to tonem nieco sarkastycznym, który sprawił, iż rozmówca spojrział na nią pytająco. Obce mu były te sprawy, zwłaszcza zaś nie pojmował, skąd czerpie pewność, że ojciec żyje. Jakby czytając w jego twarzy roześmiała się i rzekła:

- Papa i ja byliśmy sobie zawsze tak bliscy, że myśleliśmy dokładnie w ten sam sposób. - Obdarzyła go uśmiechem i dodała: - Łączy nas rodzaj powinowactwa zrozumiały dla ludzi Wschodu, ale całkiem niepojęty dla tych, którzy żyją na Zachodzie i nie akceptują niczego, czego nie można zobaczyć i dotknąć.

Tym razem w głosie jej zabrzmiała wyraźna kpina i markiz odparł pojednawczo:

- Zdaje się, że oczekujesz ode mnie wiary w rzeczy niesubstancjalne.

- Gdy znajdziemy papę żywego, w co święcie wierzę, wrócimy do sprawy - powiedziała. - A teraz, milordzie, skoro mam ci towarzyszyć, pójdę i przygotuję się.

Wstała i markiz uczynił to samo.

- Chcę, Ankano, żeby było jasne, iż nie zabieram cię ze sobą. Zostaniesz tutaj z ciotką, tak jak postanowił twój ojciec, i dopełnisz swoją edukację.

- Opuściłam szkołę, jeśli to właśnie nazywasz „dopełnieniem edukacji”, przed Bożym Narodzeniem. To, co teraz robię, jest przygotowywaniem się do wejścia w świat w roli dobrze ułożonej, stosującej się do konwenansów debiutantki. - Spojrzała na niego z leciutkim uśmiechem. - Ale papa potrzebuje mnie i, dzięki Bogu, będę mogła porzucić tę bezsensowną „naukę”.

- Obawiam się, Ankano - westchnął markiz - że cokolwiek powiesz, będzie dla mnie bardzo nieprzekonywające. Zostałem powiadomiony przez osobę o niepodważalnym autorytecie, że twój ojciec nie żyje, i dopóki tego nie sprawdzę, muszę akceptować, co mi powiedziano.

Ze sposobu, w jaki Ankana nań popatrzyła, wywnioskował, że ma go za głupca, i rozgniewał się.

- Jadę do Bangkoku - zaczął. - Jeśli znajdę twojego ojca, oczywiście bezzwłocznie zatelegrafuję do ambasady, żeby ci przekazać tę wiadomość. - Westchnął głęboko i podjął: - Jeżeli zaś go nie odnajdę, uczynię, co w mojej mocy, by wyjaśnić okoliczności jego śmierci. Po powrocie zrelacjonuję ci wszystko ze szczegółami.

Powiedział to tonem, jakim się mówi do krnąbrnego dziecka. Po krótkim milczeniu Ankana rzekła spokojnie:

- Pojedziesz do Bangkoku tak szybko, jak to możliwe?

- Oczywiście - odparł. - Mój jacht, o nazwie „Koń Morski”, jest, zapewniam cię, szybszy niż jakikolwiek jacht tego rodzaju. A nowe silniki, które na nim zainstalowałem, zawiozą mnie do Syjamu równie prędko, jeśli nie prędeziej, jak

statek oceaniczny.

- Czy już dzisiejszej nocy zamierzasz się zaokrętować? - dopytywała.

- Za niespełna dwie godziny wyruszam do Folkestone. - Przerwał i dodał surowym tonem: - Jeżeli zgodnie z moimi instrukcjami kapitan przygotował jacht do natychmiastowej drogi, będziemy na morzu przed zmierzchem.

- I powiesz papie, jak go tylko zobaczysz, że o nim myślę i kocham go?

- Powtórzę mu twoje słowa - obiecał markiz uprzejmym tonem. - Mam serce pełne nadziei, Ankano, że nie mylisz się i twój ojciec naprawdę żyje, lecz uważam, iż zbyt optymizm byłby przedwczesny.

- Papa zawsze mawia, że należy szukać prawdy, zrobię to więc, aczkolwiek mi nie wierzysz. - Wyciągnęła przed siebie ręce i dodała: - Dziękuję ci ogromnie za ten pośpiech. Skoro król cię o to poprosił, mam przecucie, że potrafi wyjawić ci, gdzie jest mój ojciec, i jestem pewna, że go odnajdziesz.

- Znów mogę jedynie powiedzieć, że ufam, iż się nie mylisz - odparł. Głos jego był pełen powątpiewania.

Ponownie ujął dłonie dziewczyny. I jeszcze raz zdał sobie sprawę, jak bardzo się różni ta drobna, ciemnowłosa istota od jego wyobrażenia o angielskiej pannie.

- Bon voyage!\* - rzekła, a potem dodała po syjamsku: - I niech cię bogowie mają w opiece!

\* **Bon voyage (franc.) - szczęśliwej drogi.**

- Mówisz po syjamsku? - markiz zatrzymał się zdumiony.

- Trochę - przytaknęła. - Czy nie sądzisz, że mogłabym ci być użyteczna w drodze?

- Nie, wykluczone! - odrzekł pośpiesznie. - Młoda kobieta w takiej podróży

może być jedynie kłopotem.

- Po chwili namysłu dodał surowo: - Jak ci już mówiłem, nie mam najmniejszej ochoty na jakiegokolwiek towarzystwo ani też, jeśli mam być szczery, na dodatkowe komplikacje.

- Jesteś zaiste bardzo szczery - przytaknęła Ankana. - Proszę cię, spiesz się, milordzie. - Podniosła nań oczy, w których tlił się niepokój. - Wiem, że ojciec żyje, lecz czuję, więcej, jestem pewna, że znajduje się w sytuacji, w której pomoc jest mu niezwłocznie potrzebna. Mam nadzieję, że otrzyma ją od ciebie.

Mówiła z takim przekonaniem, iż zrezygnował z dalszych prób uświadomienia jej, jak bardzo się myli. Powiedział więc jedynie:

- Do widzenia, Ankano. Gdy wrócę, zrobię to, co wcześniej powinienem był uczynić: przedstawię cię moim krewnym, którzy mają córki w twoim wieku. Będą uszczęśliwione nową towarzyszką.

- To bardzo uprzejme, co zamierzasz, milordzie - rzekła dziewczyna. - Oczywiście moja wdzięczność będzie niezmierna.

W jej głosie pojawił się znów ów impertynencki, drwiący ton, który zdradzał, iż ma go za śmiesznego głupca.

W drodze powrotnej markiz doszedł do wniosku, iż mógł się spodziewać, że córka Calvina Brooka będzie inna od młodych Angielek, lecz nie aż tak inna i - ku jego irytacji - potraktuje go jak kogoś, kto nie potrafi zrozumieć pewnych spraw. Był oczywiście w pełni świadom, że mieszkańcy prawie wszystkich krajów Wschodu, jakie odwiedził, wierzą w możliwość porozumiewania się za pośrednictwem energii myśli. Są przekonani, że człowiek może wiedzieć, co się zdarzyło w odległości trzystu mil, na tygodnie, a nawet miesiące przed nadejściem oficjalnej wiadomości. Lecz przecież możliwe są pomyłki. Markiz

by! pewien, że Ankana, córka Europejczyka, choćby najbardziej niezwykła, nie ma tej zdolności. To myślenie „życzeniowe” i nic więcej. „Wkrótce się przekonam, jak jest naprawdę” - pomyślał.

Po powrocie do domu rozpoczął przygotowania do podróży. Poleciał swemu sekretarzowi, by wysłał lady Sybilli kosz drogich orchidei i przeprosił ją w jego imieniu, że nie będzie na kolacji. W ten sposób zostały mu zaoszczędzone łyzy i wymówki, nieuniknione, gdyby pozostał w Londynie. „Ten niezdrowy podmuch, który nikomu nie przynosi szczęścia” - skonstatował.

Niezwykłe elegancki w swoim podróżnym płaszczu wsiadł do powozu i ruszył ku stacji kolejowej. Miał już zarezerwowany prywatny wagon w pociągu. Służący z bagażami udał się tam wcześniej.

Gdy przejeżdżał przez Park Lane, doznał uczucia, że oto rozpoczyna się przygoda. Powinien być przygnębiony i głęboko zasmucony śmiercią Calvina Brooka. Tymczasem, przeciwnie, miał wciąż w uszach śpiewny i pełen ufności głos Ankany mówiącej: „Papa nie umarł! On żyje!”

## Rozdział drugi

Osmond Vale odnalazł swój wagon w pociągu ekspresowym do Folkstone. Zjadł wyśmienity lunch, przygotowany przez własnego kucharza, wypił pół butelki szampana z własnej piwniczki. Był więc w doskonałym nastroju, kiedy pociąg tuż po godzinie czwartej wyruszył w drogę.

Towarzyszili mu służący, a także sekretarz. Gdy markiz wsiadł do powozu, który czekał przed dworcem, by zawieźć go do doku, sekretarz podążył za nim innym pojazdem.

„Koń Morski” prezentował się wspaniale. Blaskiem swym zaćmił wszystkie inne statki w porcie. Flaga Królewskiego Jachtklubu powiewała na maszcie, a u szczytu pomostu kapitan czekał na pojawienie się markiza. Otrzymał telegram, wysłany przez sekretarza natychmiast, gdy tylko Vale powziął decyzję wyjazdu.

Markiz palił fajkę na pokładzie, przyglądając się krzątaniu załogi podnieconej perspektywą długiej podróży. Zabierał ze sobą z Londynu najrozmaitsze rodzaje win oraz wielkie zapasy żywności. Oświadczył kapitanowi, że pragnie wyruszyć na morze bez zwłoki. Nim wszedł na mostek, wziął go na stronę i rzekł:

- Celem naszej podróży, kapitanie, jest Bangkok. Nie życzę sobie jednak, by wiadomość ta dostała się do prasy. Proszę więc przed opuszczeniem portu nie informować załogi, dokąd płyniemy.

- Zapewniam pana, milordzie, że jak dotąd wszystkie pańskie zamiary były trzymane w tajemnicy - i odparł kapitan. - Także i tym razem będę posłuszny pańskim rozkazom. - Zamilkł i zaraz dodał: - Przed odjazdem nie poinformuję o celu naszej wyprawy nawet pierwszego oficera.

- Dziękuję - rzekł markiz. - Za pięć minut dołączę do pana na mostku.

Zszedł na dół, by się upewnić, czy wprowadzono ulepszenia, które zarządził po poprzedniej podróży. Nowym, „dziewiczym” jachtem popłynął wtedy do Algieru. Był zachwycony jego szybkością i komfortowym wyposażeniem wnętrza. Zażyczył sobie jednak, by poprawiono kilka szczegółów, zwłaszcza w urządzeniu sypialni. Teraz z satysfakcją stwierdził, że niczego nie zaniedbano. Szczególnie atrakcyjnie prezentowała się jego własna kabina, utrzymana w odcieniach zieleni, doskonale dopasowanych do koloru morza. Zainstalowana tu biblioteczka uzupełniała bibliotekę w salonie. Podczas podróży na cudzych jachtach markiz przekonał się, jak trudno wytrzymać długo na pełnym, morzu, jeżeli nie ma się mnóstwa książek do czytania. Dlatego od razu sprawdził, czy dostarczono lektury, które zamówił. Dbał o to, by wszelkie nowości były przesyłane jednocześnie na „Konia Morskiego” i do jego biblioteki w Londynie.

Stwierdziwszy, że wszystko jest w porządku, Vale wszedł na mostek kapitański. Dla kapitana był to znak do odjazdu. Gdy płynęli cieśniną La Manche, markiz myślał z satysfakcją, że oto opuszcza Anglię. Pozostawia za sobą kłopoty i strapienia. Zwłaszcza zaś lady Sybillę.

Miał poczucie, że jedynie własnym talentom organizacyjnym zawdzięcza to, iż wypływają tak szybko. Wydał sekretarzowi instrukcje, kogo ma zawiadomić o jego odjeździe. Poleciał mu także czuwać nad należyтым biegiem spraw aż do swego powrotu.

Gdy poczuł, jak „Konia Morski” pruje wodę ze wzrastającą wciąż szybkością, jak przekracza siedem węzłów na godzinę, a mógłby wyciągnąć i więcej, doznał jeszcze głębszej satysfakcji. Osobiście sprawdził każdy szczegół na „Koniu” i wiedział, że wszystkie urządzenia są w doskonałym stanie. Miał też świadomość,

że jego jacht jest wyposażony w maszyny, których darmo by szukać na innych statkach. Powiedział do kapitana:

- Chciałbym pobić wszystkie rekordy prędkości podczas tej podróży. Jak pan szacuje czas jej trwania?

Kapitan, Szkot z urodzenia, zastanowił się, nim odpowiedział:

- Jak wasza lordowska mość wie, kapitanowie statków oceanicznych chętną się, że docierają obecnie do Indii w ciągu siedemnastu dni. Ja myślę, że my możemy skrócić ten czas. - Przerwał, a potem pomiarkował swój optymizm, mówiąc: - Jeżeli będziemy mieli szczęście i żaden sztorm nie przedłuży naszej drogi do Bangkoku, przyplłyniemy szybciej o pięć, sześć dni.

- Mam nadzieję, że dotrzemy do celu przed upływem trzech tygodni - rzekł markiz.

- Możliwe, że będziemy mogli sprawić panu, milordzie, niespodziankę - odparł kapitan.

- Byłbym nieskończenie wdzięczny, gdyby się to udało - zakończył rozmowę Vale.

Zszedłszy do kajuty, przebrał się do kolacji tak, jakby wybierał się na party. Z przyjemnością spożył posiłek, przygotowany dlań przez francuskiego kucharza oraz chińskiego pomocnika. Potem znów wspiął się na mostek kapitański. Stwierdził, że nie docenił możliwości swego jachtu. Z uśmiechem satysfakcji na ustach zszedł ponownie do kabiny. Służący, rozpakowawszy rzeczy, czekał na swojego pana.

- Doskonale! Znakomicie! - powiedział Vale, zdejmując przy pomocy lokaja wieczorowy strój.

- To wielka frajda, milordzie, wyruszyć znowu w świat, nie ma co!

Markiz uśmiechnął się. Dobson towarzyszył mu w podróży do Singapuru, ale nie w roli służącego. Był jego totumfackim, chłopcem do wszystkiego. Okazał się niezastąpiony w różnych niecodziennych sytuacjach i obcych miejscach, w których bywali najpierw we dwóch, a potem we trzech - z Calvinem Brookiem. Markiz wiedział doskonale, że - podobnie jak on - Dobson jest znudzony „dobrze zorganizowanym” życiem towarzyskim, jakie wiedli w Anglii. Gdy więc oznajmił mu, że wyruszają na morze, oczy sługi rozbłysły i zatrzepotał ramionami jak zimorodek. Vale, wiedząc, że pożera go ciekawość, zaczął:

- Spodziewam się, iż wiadomo ci, że dzisiejszego ranka odwiedził mnie ambasador Syjamu? Przybył, żeby poinformować o śmierci pana Brooka.

- Czy to pewna wiadomość, milordzie? - spytał Dobson, wpatrując się w swego pana.

- Jego wysokość król Syjamu przesłał ambasadzie telegraficzne polecenie, by poinformowała mnie o tym fakcie. - Przerwał, by po chwili podjąć z emfazą:

- Król przekazał też wiadomość, że bardzo pragnie się ze mną spotkać, a jako że powód jest ważki, przychyliłem się do prośby jego królewskiej wysokości.

- Moim zdaniem, milordzie, pan Brook nie bardziej jest trupem aniżeli ja!

- Skąd, na miły Bóg, masz tę pewność? - spytał markiz.

- Jeżeliby mieli jego ciało - wyjaśnił sługa - jasne, że wyprawiliby je z powrotem tam, skąd przybyło.

To było coś, co markizowi nie przyszło do głowy. Pomyślał, że Dobson jest bardzo bystry. Zaraz jednak powiedział sobie w duchu, że to przecież niemożliwe, by król go okłamywał. Uznał, że nie powinno się w nikim budzić nadziei po to, by potem doznał tym głębszego rozczarowania. Powiedział więc głośno:

- Myślę, że niewłaściwe jest spekulowanie teraz na ten temat. To, co mówisz, wydaje się absolutnie niemożliwe.

- Nic, co dotyczy pana Brooka, nie jest niemożliwe - zaprotestował sługa. - A jeśli jest pan ciekaw mojego zdania, milordzie, uważam, że on użył tu jednej ze swych „małpich sztuczek”.

- Nie jestem ciekaw - uciął markiz. - Ł mam zamiar trzymać się tego, co mi powiedziano, dopóki rzecz się nie wyjaśni.

Dobson nie odezwał się już ani słowem. Gdy opuścił kabinę, Vale sarknął z irytacją:

- Najpierw Ankana, a teraz on.

Cała rzecz wydała mu się śmieszna. Był pewien, że król wezwał go nie po to, by dochodzić, czy Brook żyje, czy też nie, lecz z całkiem innej przyczyny. Calvin był przecież wmieszany w zawile sprawy kontrwywiadu i to spowodowało nań śmierć. Musiały być dużej wagi, skoro król zdecydował się prosić go o wyruszenie w tak daleką podróż. Jego wysokość wiedział, że niegdyś odnieśli razem zdumiewający sukces. Dokonania markiza i Calvina Brooka na terenie Indii oraz innych krajów Wschodu odnotowywano w rejestrach Urzędu Spraw Zagranicznych jako „ściśle tajne”.

Gdy po śmierci ojca Vale przyjął rodowy tytuł, tamten rozdział życia wydał mu się zamknięty. Nie potrafił jednak opanować lekkiego podniecenia, które go ogarniało, ilekroć pomyślał, że mógłby znów wyruszyć w przebraniu do jakiejś ponurej części Syjamu. Lub do Birmy, w celu znanym jedynie królowi i jego starszym ministrom.

Kiedy król Czulalongkorn zasiadł na tronie, Vale liczył sobie piętnaście lat. W czasie swego panowania władca całkowicie zrewolucjonizował dwór, w kraju

zaś dokonał niezliczonych zmian. Zaczął od zniesienia dawnego zwyczaju prezentacji. Pozwolił urzędnikom siedzieć na krzesłach podczas audiencji. To była niewiarygodna innowacja. Do tej pory królów witało się w Syjamie na klęczkach z nisko pochyloną głową. Następnie Czulalongkorn zniósł, na rozsądnych zasadach, poddaństwo, dając posiadaczom i poddanym czas na ustalenie wzajemnych norm współżycia. Bardziej niezwykle było jednak to, że przywrócił stary system opodatkowania chłopów pańszczyźnianych.

Markiz zdał sobie prędko sprawę, że jeśli rządy króla Czulalongkorna przetrwają, w Syjamie dokona się najbardziej rewolucyjny postęp, jaki odnotowano gdziekolwiek w świecie. Do tej pory nie było tu ani szkół, ani dróg i kolei żelaznych, ani też szpitali. Co gorsza, Syjam nie miał nawet właściwie wyposażonej armii. Inspirację do tak ogromnych zmian czerpał król od cudzoziemskich doradców. Wysłał swoich synów oraz innych młodych dworzan po nauki do stolic europejskich.

Za pośrednictwem królewskiej policji car Rosji Mikołaj II, w dowód przyjaźni, zaproponował królowi, by przysłał na jego dwór jednego ze swych synów. Czulalongkorn zaakceptował tę propozycję. Wyprawił do Sankt Petersburga księcia Chakrabongse. Młodzieniec kształcił się tam na Akademii Wojskowej, a po otrzymaniu szarży oficerskiej służył w osobistej gwardii carskiej.

Po spotkaniu z Czulalongkornem markiz był oczarowany żywością jego umysłu. Wkrótce zostali przyjaciółmi. To, że król podczas swych europejskich podróży odwiedził przed rokiem Anglię, było w dużej mierze zasługą markiza.

Jego wysokość zatrzymał się wówczas w Pałacu Buckingham. Gościa z Syjamu podejmował książę Walii, gdyż królowa Wiktorja wypoczywała w

Windsorze, przygotowując się do swego diamentowego jubileuszu.

Królewska podróż po Europie objęła Rosję, Szwecję i Belgię. Główną przyczyną jego wielkiego sukcesu był fakt, iż Czulalongkorn jako pierwszy azjatycki monarcha rozmawiał ze swymi gospodarzami po angielsku, bez pośrednictwa tłumacza.

Po powrocie do Bangkoku król napisał serdeczny list do markiza. Wyznał, że ogromnie cieszyłby się, gdyby znowu mógł go gościć u siebie, i że jest zachwycony wszystkim, co zdołał zobaczyć w Anglii. „Jakikolwiek jest powód zaprosin - skostatował Vale - nie sposób mu odmówić." Zresztą był ciekaw zmian dokonanych przez monarchę w Syjamie od czasu ostatniego tam pobytu.

Kładąc się do łóżka myślał z trzeźwym entuzjazmem o tym, co go czeka. A zasypiając stwierdził z uczuciem ulgi, że oto jest sam. Gdyby nie pilna wiadomość od władcy Syjamu, kto wie, czy zdołałby się uwolnić od Sybilli. A wtedy zanudziłby się na śmierć. Leżąc wygodnie w wielkim łożu powiedział sobie, że i tym razem szczęście go nie zawiodło. Wyrzuty i łzy kochanki z pewnością już by go teraz nie poruszyły. Do jego powrotu zaś lady Sybilla bez wątpienia znajdzie sobie nowego przyjaciela.

Obudziwszy się markiz stwierdził, że „Koń Morski" kołysze się i chyba. Jako wyborny żeglarz wcale się tym nie przejął. Miał tylko nadzieję, że jacht jest należycie uszczelniony i bez żadnych uszkodzeń. Poza tym był pewien, że doskonale nadaje się do dalekomorskiej żeglugi. Na wszelkie możliwe sposoby przecież został sprawdzony w stoczni przed wodowaniem, a potem podczas próbnych podróży.

Powietrze było bardzo zimne, w kabinach jednak działało ogrzewanie jego własnego pomysłu. Jedynie na pokładzie czuło się ostre porywy wiatru. Chmury

na niebie niewątpliwie zwiastowały śnieg.

- Im prędzej znajdziemy się w strefie słońca, tym lepiej - powiedział do kapitana, wchodząc na mostek.

- Jak dotąd nie wytraciliśmy szybkości - odparł tamten, pełen dumy.

Markiz spędzał długie godziny na mostku kapitańskim, nierzadko też zaglądał do pomieszczeń marynarzy. Cieszył się, że są zadowoleni z wygód, jakie im zapewnił. Że rozpiera ich duma, iż żeglują na takim wspaniałym jachcie w tak znakomitych warunkach. Uważał, że powodzenie morskich wypraw zależy od właściwego wyżywienia i zaopatrzenia załogi. Wyłożył to szefowi kuchni, gdy angażował go do pracy. Powiedział, że oczekuje możliwie najlepszego wikt dla siebie i swoich gości. Jeżeli zaś chodzi o marynarzy, życzy sobie, by posiłki były dla nich nie tylko źródłem zdrowia i siły, lecz także przyjemności. Podczas wyprawy do Gibraltaru bardzo ostro upomniał kucharza za to, że wziął nie dość świeże owoce i warzywa. Wyraził przekonanie, że taka sytuacja więcej się nie powtórzy.

Po południu dotarli do Zatoki Biskajskiej. „Koń Morski” wyszedł zwycięsko z prawdziwej próby. Morze w styczniu było jednak inne aniżeli w czerwcu. Daleki od niepokoju czy lęku markiz oczekiwał wyzwania. Przed wyruszeniem w drogę był szczęśliwy, że „Koń” tak się trzyma pomimo groźnych fal i porywistego wiatru. Poruszanie się po pokładzie wymagało ostrożności i uwagi. Głupotą byłoby ryzykowanie złamania nogi.

Dotarł do łóżka wyczerpany zmaganiem z wichrem i wymykającym się spod nóg pokładem. Zasnął przyłożywszy głowę do poduszki.

Obudziwszy się, Vale stwierdził, że jest już po sztormie. Promienie słoneczne wpadały przez iluminator. Domyślił się, że znajdują się nie opodal Lizbony.

Ponieważ było mu bardzo spieszno, postanowił, że pierwszym portem, do którego zawiną - o ile jakieś uszkodzenie jachtu nie zmieni tego planu - będzie Gibraltar.

- Wszystko w porządku? - powitał Dobsona pytaniem.

- Wszystko, milordzie. Nic się nie potłukło ani nie rozbiło prócz kilku talerzy w kuchni - zapewnił go służący. - A także prócz szklanki wina, którą wasza miłość zostawił w salonie.

Markiz roześmiał się. Wiedział, że Dobson lubi złapać go na gorącym uczynku, jeżeli tylko ma ku temu sposobność. Powiedział więc z udawaną surowością:

- To było zaniedbanie stewarda, że ją tam zostawił.

- Stała na podłodze pod krzesłem, na którym pan siedział czytając, milordzie - wyjaśnił Dobson. - A on przywykł do tego, że dżentelmeni stawiają swoje szklanki na stole.

Nikommu prócz Dobsona nie uszłaby na sucho taka impertynencja. Ale też jedynie on widywał swego pana w sytuacjach, kiedy w obliczu zagrożenia byli sobie równi. Toteż markiz pozwalał mu na dużo więcej niż komukolwiek innemu spośród swojej służby.

Gdy tego samego dnia po południu markiz zszedł na dół, by się przebrać do obiadu, Dobson powiedział:

- Zasuwa na drzwiach sąsiedniej kabiny zasunęła się podczas nocnych harców jachtu. - Po krótkim milczeniu dodał: - Stolarz próbował ją odsunąć, lecz w końcu stwierdził, że nie da się nic zrobić bez użycia siły, a to oznacza okaleczenie drzwi.

- A więc załatw to sam! - rozkazał markiz. - Jeżeli zasufa przesunęła się

podczas sztormu, wróci na miejsce, gdy ją wymienimy. Musimy korzystać z tej kabiny?

- Włożyłem tam do szafy kilka ubrań waszej miłości - odparł Dobson. - Możemy jednak używać innych.

- Jest ich co niemiara - rzekł markiz rozbawiony. - Obyśmy tylko takie mieli zmartwienia.

„Koń Morski” pokonał bez szwanku groźne sztormowe morze. Od tej pory będą żeglować po spokojniejszych wodach, z dala od mrozu i chłodu. Kapitan nie posiadał się z dumy, podobnie jak on.

Znów zjadł wspaniałą kolację. A potem, jak poprzedniego wieczoru, zagłębił się w lekturze syjamskiego słownika. „To bardzo trudny język” - skonstatował. Znał pewną liczbę słów urdu, mógł się też porozumieć w Cejlonie. Ale nigdy nie był w Syjamie dostatecznie długo, by opanować ten język. Jako perfekcjonista wszakże próbował zrobić to teraz. Gdy rozpoczął lekturę Sangitiyavangs, historii synodów buddyjskich, pomyślał, że bardzo byłby mu przydatny nauczyciel. Powątpiewał jednak, czy zostanie w tym kraju na tyle długo, by go zatrudnić.

Było dość późno, kiedy zszedł na dół.

Po wyjściu Dobsona z kabiny, gdy zamierzał położyć się do łóżka, uprzytomnił sobie, iż zostawił Sangitiya-vangs na górze w salonie. Wyciągnął rękę po dzwonek, ale zaraz pomyślał, że przecież sam może pójść po książkę. Okrył się ciepłą narzutą, która leżała w nogach łóżka. Ruszył ostrożnie korytarzem, ponieważ jacht się wciąż kołysał, wspiał się na schodki i wszedł do salonu.

Książka leżała tam, gdzie ją zostawił. Włożywszy ją pod pachę, stał przez chwilę bez ruchu, wpatrując się w ciemność. Chmury burzowe zniknęły i niebo

Isniło brylantami gwiazd. Zapragnał wejść na pokład i popatrzeć sobie na nie, lecz nie uczynił tego - było zbyt zimno, a on nie miał na sobie odpowiedniego ubrania. Nie chciał ryzykować przeziębienia, które mogłoby być bardzo szkodliwe dla nerek. Z lekkim westchnieniem, że musi zrezygnować z czegoś niezwykle przyjemnego, ruszył ku zejściówce.

Szedł korytarzem w kierunku swojej kabiny, która wypełniała całe wnętrze rufy i po obu stronach miała świetliki. Dochodząc do drzwi oparł się rękami o ścianę, by złapać równowagę. Wtedy z kabiny zamkniętej od wewnątrz ponad wszelką wątpliwość dobiegł go odgłos kichnięcia. Przez chwilę myślał, że jednak uległ złudzeniu. Zatrzymał się i nasłuchiwał, wsparty o futrynę. Usłyszał z wnętrza delikatny szmer. Uważając, że myli go własny słuch, przyłożył ucho do drzwi. Teraz już nie miał wątpliwości, że ktoś jest w środku. Nagle olśniła go niezwykła myśl. Nie, to niemożliwe, nie do wiary! Zapukał, mówiąc:

- Natychmiast otwórz drzwi! Wiem, że tam jesteś! Bądź mi posłuszna!

Nie podnosił głosu, gdyż nie chciał zwracać na siebie uwagi marynarzy. Wszyscy byli w drugim końcu jachtu. Pewne natomiast było, że w kabinie jest dobrze słyszany.

Przez chwilę trwała cisza. Potem czuły słuch markiza zarejestrował czyjeś powolne i niechętne kroki w stronę drzwi.

- Odsuń zasuwę - rozkazał - albo wezwę stolarza.

Znowu zapadła cisza. Potem dobiegł go dźwięk odsuwanej zasuwki. Markiz nacisnął klamkę, otworzył drzwi i zobaczył - zgodnie z oczekiwaniem - Ankanę.

W kabinie paliło się światło, lecz dziewczyna osłoniła je tak przezornie, że nie dawało się dojrzeć z zewnątrz. Wszedłszy do środka markiz zauważył, że również wzdłuż szpary pod drzwiami ułożone są poduszki. Wydostające się

tamtędy światło mogłoby wszak być sygnałem, iż kabina jest zajęta. Przez chwilę Vale nie mogli wydobyć z siebie słowa, tak był rozgniewany. Ale kiedy Ankana podniosła nań oczy, ogromne w drobnej twarzyczce, odezwał się:

- Co ty tutaj robisz?

Pytanie było zbyteczne, gdyż znał odpowiedź. Dziewczyna jednak odparła z wahaniem:

- Przepraszam... ale musiałam wyruszyć z tobą... na poszukiwanie ojca.

- Jak śmiałaś! - huknął. - I jak się dostałaś na pokład nie zauważona?

Na ustach Ankany pojawił się nikły uśmiech.

- Przecież po twoim telegramie na pokładzie zaczął się wielki ruch: wchodzili i wychodzili dostawcy, a załoga była zajęta czyszczeniem i polerowaniem statku.

- Powiedziałem chyba, że nie mogę cię zabrać ze sobą?!

- Nie będę ci wchodziła w drogę - obiecała Ankana. - A tu na dole jest dosyć pomieszczeń.

- To nie do pojęcia! - sapnął markiz. - Jedyłą rzeczą, którą teraz mogę zrobić, jest odesłanie cię do Anglii z Gibraltaru.

- W takim razie pojedę do Bangkoku drogą lądową.

- Nie zrobisz tego - powiedział gniewnie. - Jestem twoim opiekunem i będziesz mi posłuszna.

Ku zdumieniu markiza Ankana, miast się przestraszyć, zareagowała na jego wybuch złości śmiechem:

- Czy rzeczywiście spodziewasz się, że zrobię to, co mi nakazałeś? Jestem pewna, że papa uznałby twoje decyzje za śmieszne.

- Jeżeli chcesz znać moje zdanie, to uważam, że ojciec byłby bardzo niezadowolony z twojego postępowania - warknął markiz.

- Nie, na pewno nie! - potrząsnęła głową. - Kiedy uciekłam ze szkoły, by być z nim w Maroku, roześmiał się po prostu i powiedział, że jestem odłamkiem starego głazu. - Umilkła, zaśmiała się raz jeszcze i dodała: - Wtedy papa też był w tarapatach.

- Jesteś najbardziej irytującą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem - wykrzyknął Vale.

Zabrzmiałoby to pewnie groźniej, gdyby w tym momencie statek się nie przechylił. Ratując się przed upadkiem, markiz usiadł na łóżku. Myślał przy tym, jak trudno będzie znaleźć w Gibraltarze kogoś, kto zechce ją odstawić z powrotem do Londynu. Zresztą nie zgodziła się na to, nie wiedział więc, co dalej z tym robić.

Musiła czytać w jego myślach, gdyż rzekła:

- Choćbyś nie wiem jak starał się mnie powstrzymać i tak zamierzam udać się do Bangkoku. Powinieneś zrozumieć, że muszę być z nim!

- Posłuchaj mnie, Ankano - markiz wziął głęboki oddech, a potem powiedział innym tonem: - Musisz być rozsądna. Król Syjamu i cała masa innych osób uważa, że twój ojciec nie żyje. - Zauważył, że Ankana jest gotowa do sprzeciwu, rzekł więc: - Jestem przekonany, że masz rację: twój ojciec żyje i przysięgam ci, że gdy dotrzemy do Bangkoku, uczynię wszystko, co w mojej mocy, by go odnaleźć i, jeżeli się ukrywa, wyprowadzić z kryjówki. - Spojrzał na dziewczynę, by upewnić się, czy go słucha, i ciągnął dalej: - Jeżeli będziesz ze mną, sprawy się skomplikują. Jak zdołam wyjaśnić fakt, iż ty, córka mego przyjaciela, podróżujesz ze mną bez przyzwoitki? - Przerwał, uśmiechnął się do niej i znów mówił: - I gdzie w drodze do Syjamu znajdę dla ciebie towarzyszkę bez wielkiej straty czasu?

- Pomyślałam o tym - rzekła spokojnie Ankana. Siedziała w fotelu przytwierdzonym do podłogi i wydawała się zupełnie beztroska.

Markiz uświadomił sobie, że dziewczyna jest ubrana w koszulę nocną i szlafrok, który trudno by było nazwać negligem. W kolorze błękitnego Nilu obramowany był przy szyi koronkowym kołnierzykiem. Długie ciemne włosy opadały na ramiona.

Jakby odgadując jego myśli, Ankana rzekła:

- Wyglądam, jak widzisz, bardzo młodo i tu oczywiście masz odpowiedź. Mogę wyglądać jeszcze młodziej, tak że jeżeli rozgłosisz, że liczę piętnaście lub nawet czternaście wiosen, każdy ci uwierzy. - Obdarzyła go czarującym uśmiechem i dodała: - Nikogo zatem nie zdziwi, że dotrzymuję ci, jako opiekunowi, towarzystwa, i twoja bezcenna reputacja nie dozna najmniejszego uszczerbku.

- Nie chodzi o moją reputację! - sprzeciwił się Yale.

- Ależ tak, o nią ci chodzi! - wypaliła Ankana. - W każdym razie nie o moją. Czujesz się po prostu zakłopotany na myśl o przybyciu do Syjamu w nagłej, sekretnej misji... - umilkła, a potem podjęła zniżonym głosem: - ...w towarzystwie osoby, którą ludzie, niezmiennie zainteresowani tobą, potraktują oczywiście jako kolejną kochanicę.

Markiz zeszywniał.

- Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób! - rzekł gniewnie. - To niebywała impertynencja! Zapewniam cię, że żadna dama nie odezwałaby się w ten sposób.

- Tylko nie próbuj - niktęła Ankana - robić ze mnie damy. Przez dwa lata musiałam to wytrzymać w szkole. A teraz ty poczynasz sobie równie okropnie jak siostra papy, która ma zwyczaj wciąż mnie upominać: „Dama nie

robi tego", „dama nie robi tamtego", aż mi się chce płakać.

- Wyobrażam sobie, jak twoja ciotka teraz płacze - wtrącił markiz. - Co jej powiedziałaś przed wyjazdem?

- Powiedziałam prawdę - oznajmiła dziewczyna.

- Zostawiłam jej wiadomość, że jadę wraz z tobą do Bangkoku, ponieważ papa mnie potrzebuje.

Markiz zaniemówił. Potem rzekł z wysiłkiem:

- Musiałaś wyruszyć do Folkstonu zaraz po moim wyjściu.

- Podróżując z papą nauczyłam się działać szybko - odparła. - Spakowałam co potrzeba, i wysliznęłam się z domu, zanim ciotka zeszła na dół. - Uśmiechnęła się i mówiła dalej: - Po drodze wstąpiłam do banku, by podjąć pieniądze na wypadek, gdybyś, zgodnie ze swymi pogrozkami, wysadził mnie w Gibraltarze. Do Folkstone przybyłam dwie godziny przed tobą.

- Uważam, że zachowałaś się wyjątkowo paskudnie - skonstatował chłodno markiz.

- Może masz rację, lecz jedynie ze swojego punktu widzenia. Wszystko byłoby łatwiejsze, gdybyś - oczywiście oczekuję zbyt wiele! - zrozumiał mnie i od razu zgodził się wziąć ze sobą.

Daremnie próbował wymyślić jakiś sposób pozbycia się jej i uniemożliwienia dalszej samotnej podróży do Bangkoku. Miał nieprzyjemne przeczucie, że ona, jeśli będzie trzeba, poważy się na wszystko, by spełnić to, co zapowiedziała.

- Równie dobrze mógłbyś uznać za godne pochwały złe postępowanie - powiedziała, gdyż się nie odzywał.

- Przyrzekam, że nie będę ci przeszkadzać więcej, niż to jest nieuniknione, a gdy dotrzemy do Bangkoku, znajdę papę.

- Sądziłem, że to do mnie należy - nie wytrzymał markiz.

- Wątpię, czyby ci się to udało - odparła. - Jesteś nazbyt angielski, zbyt przyziemny i pozbawiony fantazji, by dać sobie radę w takich sytuacjach.

Markiz ponownie zaniemówił. Ankana zaś, widząc, że posunęła się za daleko, powiedziała:

- Wybacz... nie jestem okrutna... Powiedziałam ci jedynie prawdę. Wszyscy Anglicy, których spotkałam, byli tacy sami. - Zawahała się i dodała: - Wierzą tylko w to, co widzą... czego mogą dotknąć i nie mają pojęcia, że istnieje „świat za światem”, jak mówią Chińczycy.

Markiz miał się za bystrego i błyskotliwego, lecz zbyt był oszołomiony, by cokolwiek odpowiedzieć. Przez ostatnie dwa lata przywykł do kobiet, które mu schlebialiły i kadziły. Nabral wysokiego mniemania o sobie i zaczął traktować pochlebstwa jako oczywiste i należne sobie.

- Uważam - ciągnęła Ankana - że jeżeli mamy pracować razem, by pomóc papie, musimy przede wszystkim być wobec siebie szczerzy.

- Wydaje mi się, że właśnie byłaś wobec mnie szczerą - stwierdził Vale kwaśno. - A może masz w zanadrzu coś gorszego?

Parsknęła śmiechem, co uznał za oznakę zadowolenia, iż nie dąsa się na nią za przykre słowa.

- Może myślisz, że najgorsze już było - rzekła.

- Ale nie łudź się. Chcę się upewnić, czy jesteś godny zaufania. Wiem, że papa cię lubił.

Markiz pochylił głowę w geście zgody, ona zaś kontynuowała:

- Niemniej słyszałam o tobie wiele od ciotki oraz innych ludzi i dlatego stałam się podejrzliwa i przezorna.

- Co słyszałaś? - spytał i zaraz pomyślał, że ciekawość jest poniżej godności, lecz było za późno.

- Najpierw były mowy pochwalne na twój temat - powiedziała Ankana. - Ciocia Alicja wiedziała oczywiście o twojej przyjaźni z papą. - Uśmiechnęła się doń i ciągnęła dalej: - Wciąż usiłowała nakłonić mnie, bym napisała do ciebie, że jestem w Londynie, w nadziei, iż zaprosisz mnie, a właściwie nas, na kolację.

- Zrobiłbym to - wtrącił Vale.

- Nader niechętnie - dokończyła Ankana. - Gdy dowiedziałam się o twoim powodzeniu u pięknych kobiet, traktujących cię jak istny „dar niebios”, uznałam, że mamy ze sobą bardzo niewiele wspólnego.

- Jeżeli będziesz mówiła do mnie w ten sposób - powiedział markiz - sprawię ci porządne lanie, które twój ojciec, gdyby miał poczucie obowiązku, powinien był spuścić ci już dawno.

Śmiech Ankany wypełnił kabinę.

- Jestem pewna - powiedziała - że gdyby papa wiedział, iż marnujesz swoją inteligencję, energię i czas z pustogłowymi, głupimi kobietami, mającymi światu do zaoferowania jedynie swoje buzie na afiszach w oknach sklepowych, powiedziałby ci, żeś jest głupcem.

- Wygłosiłem niejedną mowę w Izbie Lordów - bronił się markiz. Przerwał, by przydać swoim słowom znaczenia. - Prócz zarządzania majątkiem działałam też aktywnie w różnych instytucjach charytatywnych, z których każda uważa się za niezbędną.

Mówiąc to zastanawiał się, dlaczego tak pokornie usprawiedliwia się przed tą bezczelną młodą kobietą. Wtedy Ankana powiedziała coś, czego się nie spodziewał:

- Oczywiście dla kogoś takiego jak ty są to odpowiednie zajęcia. - Uśmiechnęła się i dodała: - Ja tylko wyjaśniłam, dlaczego w twoim życiu nie było do tej pory miejsca dla mnie. Mając na względzie typ kobiety, jaki lubisz, nic nas nie łączy prócz miłości do papy.

- I tylko to się teraz liczy - dodał markiz. Doszedł do wniosku, że postąpi najmądrzej, jeżeli będzie ignorował jej insynuacje na temat swoich przyjaciółek, całkowicie bezzasadne.

- W tym się zgadzamy - rzekła dziewczyna. - A teraz, jeżeli jesteś gotów słuchać, powiem ci, w jaki sposób chcę z tobą podróżować. To bardzo proste. - Przechyliła na bok głowę i rzekła: - Mogę występować w roli uczennicy, którą ty, jako opiekun mianowany przez jej ojca, a twojego przyjaciela, wozisz ze sobą.

- Myślę, że jest to tak dobre, jak każde inne, wytłumaczenie twojej obecności - wycedził. - Mam nadzieję, że potrafisz wyglądać dostatecznie młodo.

- Nie byłabym córką swego ojca, gdybym tego nie potrafiła - oświadczyła dumnie. - Kiedy byliśmy w Afryce, występowałam w roli żony beduina i nikt nie podejrzewał, że jestem kim innym. - Westchnęła i dodała radośnie: - A gdy byliśmy w Sudanie, nosiłam przebranie chłopca, jego syna. Wszyscy szejkwowie dali się nabrać i pozwolili mi jeździć konno okrakiem. Żadnemu nie przyszło do głowy, żeby zamknąć mnie w haremie.

Markiz nie zdołał opanować wesołości.

- Sądzę, że twój pomysł jest do przyjęcia - rzekł. - Gdy jednak znajdziemy się w Bangkoku, zrobisz, co ci nakażę. - Jego głos nabrał miękkości. - Nawet gdybym miał cię zamknąć w kabinie, nie dopuszczę, byś wpakowała się w jakąś kabałę.

- Ho, ho! - śmiała się Ankana. - Teraz ty próbujesz mnie przestraszyć. Ale ja wiem jedno: dżentelmen twojego pokroju nie uwięzi kobiety.

- Wkrótce się przekonasz, że jestem zupełnie inny, niż ci się zdaje - odciął się Vale.

- Gdy się nad kimś poznęcasz i z kimś pokłócisz - zakpiła. - Wiem od ciotki Alicji, że rozpierasz się jak pasza, podczas gdy kobiety całują ci stopy i mówią, żeś cudowny.

- Jeżeli usłyszę jeszcze jedno słowo na ten temat - ostrzegł - wsadzę cię do kufra i wyślę pociągiem do Anglii!

- To świetny pomysł! - wykrzyknęła. - Ciekawe, czy można przeżyć taką podróż?! - Parsknęła śmiechem i dodała: - To interesujący pomysł i dużo łatwiejszy do realizacji aniżeli zakuwanie więźniów w kajdany i odsyłanie ich do śledczego.

Markiz zdał sobie sprawę, że żadną inną pogróżką nie popchnąłby sprawy z ręczniej do przodu. Ankana słuchała tylko tego, co chciała słyszeć. Wstał z łóżka i trzymając się poręczy rzekł:

- Gdy dotrzemy do Bangkoku, będziemy mieli mnóstwo czasu na omówienie naszej strategii, jeżeli zdecydujemy się na jedną. Teraz zaś zamierzam iść spać i spodziewam się, że jutro rano będziesz gotowa, by wytłumaczyć lokajowi swoją tutaj obecność

- Oczywiście! - wymamrotała Ankana.

- Jak również kapitanowi - dodał. - Będzie z pewnością robił sobie gorzkie wyrzuty, iż pozwolił ci wejść na pokład bez mojej wiedzy.

- Innymi słowy, uzna mój postępek za godne ubolewania zakłócenie porządku na jachcie - skonstatowała. - Nie trap się jednak. Jak wszyscy mężczyźni tak i

twoi marynarze lubią niespodzianki i wkrótce mnie zaakceptują.

Markizowi nie przypadła do gustu myśl, że mężczyźni na jego jachcie mogliby zaakceptować Ankanę. Nie chciał jednak więcej o tym mówić. Skierował się po prostu do drzwi. Gdy był w progu, niepoprawna dziewczyna zawołała:

- Dobranoc, milordzie. Dziękuję ci, żeś mnie nie wyrzucił za burtę rybom na pożarcie.

- To jest myśl! - odciął się. - Urzeczywistnię ją, gdy będziesz mi dokuczała ponad miarę.

Nie czekał na odpowiedź. Ale zamykając drzwi usłyszał jej śmiech i pomyślał, że jest nieznośna. W łóżku jednak powiedział sobie, że aczkolwiek doprowadziła go do pasji tym nierozsądnym zakradnięciem się na jacht, to przecież jednocześnie trochę go ubawiła. Jest w każdym razie kimś, z kim będzie można porozmawiać w czasie długiej - mimo wysiłków załogi - podróży morskiej.

## Rozdział trzeci

Podczas przeprawy przez Morze Śródziemne Ankana nie sprawiała markizowi najmniejszych kłopotów. Lunch i kolację spożywali razem. Resztę czasu spędzała albo w kabinie, albo na pokładzie, w jakimś osłoniętym od wiatru miejscu. Wiedział, że oddaje się lekturze. Któregoś razu podpatrzył, że czyta wyłącznie książki pisane po syjamsku. Przy lunchu zagadnął na pół żartobliwie:

- Zdaje mi się, że znasz syjamski nieporównanie lepiej niż ja. Powinienem poprosić cię o lekcje.

Popatrzyła na niego przenikliwie, jak gdyby chciała przeświecić go na wskroś i dowiedzieć się, czy mówi poważnie. Potem odrzekła z lekkim ociąganiem:

- Zważywszy na twoje uczucia do mnie, nie sędzę, byś mógł być dobrym... uczniem.

- Skąd możesz znać moje uczucia do ciebie? - zachnął się. Wiedział, że na to pytanie otrzyma szczerą odpowiedź.

- Irytująca, nieobliczalna i nieznośna! - wyrecytowała Ankana jednym tchem i roześmiała się.

- Myślałem, że masz o sobie lepsze mniemanie.

- Mam - odparła. - Ale wypowiedziałam się w twoim imieniu. I zapewniam cię, że w tej sytuacji nie może być między nami relacji: uczeń - nauczycielka.

Markiz nie sprzeciwił się jej słowom, uznawszy je widać za słuszne. Powiedział:

- Rozmyślnie nie pytałem cię o to wcześniej, ale teraz chciałbym, abyś mi dokładnie wyjaśniła, skąd czerpiesz pewność, że twój ojciec jest wśród żywych.

Obserwował ją przez ostatnie dni. Wiedział, że uwielbia swego „papę”, nie

byłaby więc tak beztroska, a nawet szczęśliwa, gdyby nie przekonanie, że żyje.

Lunch dobiegał końca. Kelner przyniósł im kawę, a przed markizem postawił małą szklaneczkę porto. Przez okna salonu wpadały promienie słoneczne, a niebo było takie niebieskie, jakie zazwyczaj bywa nad Morzem Śródziemnym. Pokryte śniegiem wierzchołki gór kreteńskich wyglądały z oddali urzekająco. Patrząc na szare bloki skalne z czerwonymi nalotami na urwiskach, markiz delectował się ich pięknem. Widok ośnieżonych szczytów górskich zawsze poruszał go do głębi. Przynależał sobie, że choćby nie wiedzieć jak ważne zadania miał w Anglii, któregoś dnia porzuci je i ruszy w Himalaje.

Zauważywszy, że Ankana wpatruje się w góry, jakby szukała tam natchnienia, rzekł niespodziewanie:

- Dlaczego wahasz się z odpowiedzią?

- Zadaję sobie pytanie - odparła po krótkim namyśle - czy zrozumiesz, jeżeli powiem ci prawdę. I czy powinieneś wiedzieć za dużo.

- Co przez to rozumiesz? - zdumiał się markiz. Wolno zwróciła ku niemu głowę.

- Przypuszczam, że już się zorientowałaś - wtrącił - jak bardzo mnie irytuje brak odpowiedzi na proste pytania.

- To może ci się wydawać proste - odparła - lecz ślizgasz się jedynie po powierzchni, nie próbując nawet dotrzeć do sedna rzeczy, które się kryje poza słowami.

Markiz, zaciekawiony, odezwał się głosem, któremu uległaby większość kobiet.

- Mogę cię tylko błagać, byś mi zaufała. Ankana westchnęła lekko, po czym rzekła:

- Dobrze więc, wyjaśnię możliwie najprostszymi słowy to, co już powiedziałam. Ale i tak mi nie uwierzysz. - Pomilczawszy chwilę podjęła z emfazą: - Gdyby papa, jak twierdzisz, był martwy, nie mogłabym nawiązać z nim kontaktu.

- Chcesz mi powiedzieć, że teraz, w tej chwili, jesteś w kontakcie ze swym ojcem? - spytał markiz z niedowierzaniem.

- Siedząc tu z tobą nie próbowałam wejść z nim w kontakt - odparła. - Ale zrobiłam to minionej nocy i upewniłam się, że żyje i myśli o mnie.

Powiedziała to z taką prostotą, że nie sposób było jej nie uwierzyć. Mimo iż rozsądek podszeptwał, że to niemożliwe i dziewczyna po prostu fantazjuje.

- Może mogłabym wyjaśnić ci to trochę lepiej - rzekła Ankana, gdy markiz trwał w milczeniu. - Otóż kiedy byłam dzieckiem, papa uczył mnie słuchać i słyszeć siebie z oddalenia. - Zerknęła na swego rozmówcę: by się przekonać, czy zrozumiał. Stwierdziwszy, że nadal nic nie pojmuje, ciągnęła: - Jako dziecko miałam zwyczaj kryć się przed nianią, a potem, gdy byłam nieco starsza, przed guwernantką w lesie otaczającym nasz wiejski dom. Wtedy ona, nie mogąc mnie znaleźć, szła do papy i prosiła: „Czy nie zechciałby pan, sir, przywołać panienki Ankany? Nie mam pojęcia, gdzie się podziewa.”

- Ile lat wtedy miałaś?

- Myślę, że cztery lub pięć. Od tamtej pory jesteśmy tak mocno ze sobą związani, że papa zawsze wie, kiedy go potrzebuję i odwrotnie. - Przerwała, uśmiechając się do markiza, po czym dodała: - Potrafi nawiązać ze mną kontakt, gdziekolwiek jestem.

- Trudno w to uwierzyć - skonstatował Vale. - Ale przyjmuję do wiadomości wszystko, co mi powiedziałaś. A teraz, Ankano, chciałbym, byś mnie

poinformowała, co w tej chwili robi twój ojciec.

Dziewczyna przeniosła wzrok na śnieżny szczyt góry. Zrozumiał, że koncentruje się na ojcu. Znieruchomiała, ledwie oddychając. Zauważył, prawie podświadomie, że jest w niej spokój, jakiego nie znalazł dotąd w żadnej kobiecie. Sybilla, na przykład, miała irytujący zwyczaj obracania pierścionków na palcach.

- Dlaczego nie możesz usiedzieć spokojnie? - spytał ją kiedyś, a ona mu odpowiedziała akurat tak, jak się spodziewał:

- Ponieważ moje palce, najdroższy, mają wielką ochotę dotykać ciebie, ja zaś jestem niespokojna, gdyż nie znajduję się w twoich ramionach.

Inna piękna kobieta zaczęła go nudzić po prostu dlatego, że bez ustanku bawiła się swoimi włosami, gładząc je i głaszcząc. Wcale nie chodziło jej o to, że są nieuczesane. Podejrzewał, że po prostu chciała zwrócić jego uwagę na piękny kształt swoich ramion.

Skupienie Ankany trwało kilkanaście minut. Potem rzekła:

- Jestem pewna, iż papa ma kłopoty... Nie mogę w tej chwili powiedzieć, na czym one polegają... ale on nie jest sobą! - Zamilkła, po czym dodała: - On jest w niebezpieczeństwie, lecz panuje nad sytuacją... I dopóki tak jest, nic mu się nie stanie.

Odetchnęła głęboko, jakby brakowało jej powietrza. Kiedy zwróciła twarz ku markizowi, odniósł wrażenie, że wcale go nie widzi.

- Skąd wiesz to wszystko? - spytał po chwili. - I czy to nas naprowadzi na jego ślad?

- Myślę, że tak. Musimy tylko znaleźć się bliżej papy - odparła.

Wstała od stołu, podeszła do sofy i uklękła na niej, by wyjrzeć przez okno.

Projektując urządzenie salonu na jachcie, markiz postanowił, że zamiast iluminatorów będą tam wielkie okna z taftowego szkła, niezwykle mocne dzięki stalowym ramom. Mieli więc teraz nieograniczony widok na morskie przestrzenie. Siedząc przy stole Vale obserwował profil Ankany wpatrującej się w morze. Jej długie ciemne włosy z niebieskimi połyskami sięgały do pasa. Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że dziewczyna jest prześliczna.

Następnego dnia po odkryciu jej obecności w kabinie Ankana ukazała mu się wczesnym rankiem w uroczej sukience. Nie od razu spostrzegł, że skróciła ją unosząc nieco do góry. Włosy, ujęte małą kokardą na czubku głowy, spływały jej na ramiona niby czternastoletniej dziewczynce. Była niezwykle szczupła, pomyślał, że jak na swój wiek o wiele za szczupła. Wyglądała dokładnie tak, jak postanowiła wyglądać: niby uczennica, której daleko jeszcze do dojrzałości. Patrząc na nią uświadomił sobie teraz to, czego nie dostrzegł od razu: że jest niezwykle ładna. Być może właściwsze byłoby tu słowo „piękna”, ale wybrał inne określenie dla odróżnienia jej od kobiet, które admirował w Londynie. Jej oczy o długich, ciemnych, wygiętych jak u dziecka rzęsach były niezwykle wymowne. Dominowały w drobnej twarzy i nadawały jej wyraz uduchowienia. Kiedy jednak dokuczała mu lub sprzeczała się z nim gwałtownie i zawzięcie, co zdarzało się przy każdym prawie posiłku, w oczach jej zapalały się ognie, a grymas ironii wykrzywiał usta.

- O czym myślisz? - rzucił ostro markiz. Podejrzewał, że ukrywa przed nim coś ważnego.

Po chwili milczenia rzekła:

- Błagam bóstwa żyjące na szczytach gór o opiekę nad papą. Jestem pewna, że mnie wysłuchają.

- Dlaczego uważasz, że bogowie żyją na szczytach gór? - zdziwił się.

- Bogowie, jak również duchy, ilekroć nawiedzają ludzi, zawsze zstępują z gór. Nigdy nie słyszałam, żeby wchodzili na górę.

- To pewne - zaśmiał się.

- W Grecji zstępowali z Olimpu. Tutaj, na Wschodzie, są mnisi, którzy wierzą, że bogowie i duchy żyją na szczytach Himalajów - powiedziała Ankana marzycielsko. - I dlatego są niepokonani.

- Widziałaś Himalaje? - spytał zaskoczony.

- Papa i ja odwiedziliśmy kiedyś klasztor na himalajskim pogórzu - odparła. - Było to dawno temu, ale nigdy tej wyprawy nie zapomnę.

Markiz, dla którego Himalaje miały całkiem szczególne znaczenie, słuchał jej z zainteresowaniem. Chciał, by opowiadała dalej, lecz ona, jakby uważając, że są to sprawy zbyt święte i zbyt ważne, by o nich rozmawiać z byle profanem, rzekła:

- Lunch skończony. Spodziewam się, że pragniesz zostać sam, opuszczam cię więc.

Zamierzał powiedzieć jej, że nie musi się spieszyć z odejściem, ale Ankany już nie było. Długo jeszcze siedział przy stole, myśląc, jak bardzo jest dziwna, jak zupełnie niepodobna do jego wyobrażenia o młodej dziewczynie.

Tego samego dnia, będąc na mostku kapitańskim, zobaczył ją obserwującą morświny. Było ich tarń z pół tuzina, płynęły za kilwaterem, jakby ścigały się z jachtem. Parami wyskakiwały z wody.

Dwa dni później dotarli do Kanału Sueskiego. Zarówno markiz, jak i Ankana byli podekscytowani widokiem „srebrnej linii”, którą Lesseps połączył Morze Śródziemne z Morzem Czerwonym. „Koń Morski” płynął pod banderą

Królewskiego Jachtklubu. Dzięki temu przysługiwał mu ten sam przywilej co Flocie Królewskiej: nie musiał uiszczać opłaty portowej. Co więcej, ranga markiza sprawiła, że nie musieli - wraz z wielką liczbą dużych statków - czekać na pilota do Port Saidu. Przepuszczono ich od razu.

Gdy wpłynęli na Jezioro Gorzkie, zaczął im doskwierać upał. Na pokładzie ustawiono markizę i Vale przestrzegł Ankanę, by nie wychodziła na słońce bez kapelusza lub parasolki.

- Pewnie mniej byś się o mnie martwił, gdybym była przykuta do łóżka - odgryzła się.

- Wprost przeciwnie - odparł. - Poddaję się i twierdzę, iż jesteś tu nieodzowna.

Uśmiechnęła się i rzekła prowokacyjnie:

- Starasz się być miły dla mnie, bo czujesz, że mogę być użyteczna?

- Powiedzmy, że tak - przyznał. - Gdybym nie był miły, dokuczalibyśmy sobie i sprzeczałibyśmy się przez całą drogę do Bangkoku.

- Ty byś to robił, nie ja! - odcięła się.

Na Morzu Czerwonym było gorąco, lecz spokojnie i markiz wiedział, że teraz chyżo pomkną w stronę Indii. Ku swemu zdumieniu stwierdził, że tęskni do rozmów z Ankaną, zarówno tych przy lunchu, jak i przy kolacji. Nigdy dotąd nie miał do czynienia z atrakcyjną kobietą, która nie kokietowała go oczami, ustami, słowami i całym swoim ciałem. Ankana, nedorzecznie młoda ze swymi długimi włosami i w krótkiej sukience, rozmawiała z nim jak z równym sobie. Znała się faktycznie na wielu sprawach, o których kobiety zazwyczaj nie mają nic do powiedzenia. Rozmawiali więc o religiach Wschodu, a także o różnych zwyczajach, z którymi się zetknęli. Ankana wiele na te tematy czytała i wiedziała z pewnością więcej aniżeli markiz. Miała oczywiście odmienny punkt

widzenia. Przy kolacji markiz doszedł do wniosku, że w ten sposób mógłby rozmawiać z którymś spośród inteligentniejszych przyjaciół w klubie. Więcej: z którymś z mężów stanu podczas kolacji parlamentarzystów. Wydawało mu się niezwykle, że osoba tak młoda ma tak wiele do powiedzenia na różne tematy. Uświadomił sobie jeszcze jedno: że Ankana słucha go, nie próbując skierować jego uwagi na siebie. Nigdy dotąd nie spotkał kobiety, z którą mógłby rozmawiać o czymkolwiek innym aniżeli sprawy osobiste. Lub takiej, która by się nie poczuła urażona, gdyby miał inne zdanie. Umysł Ankany zapalał się niby błyskawica przy każdym nowym temacie. Markiz musiał stwierdzić z przykrością, że dziewczyna niezwykle szybko wynajduje słabe miejsca w jego argumentacji i o wiele częściej zwycięża w dyskusji aniżeli on.

Leżąc w łóżku w ciemnościach rozmyślał o wszystkim, co mu powiedziała. Przygotowywał się do konfrontacji z dziewczyną przy jutrzejszych posiłkach.

Zdarzało się, że najzupełniej nieoczekiwanie milkła podczas rozmowy, bynajmniej nie z braku argumentów czy tematów. Stawała się wtedy cicha i pogodna, a on patrzył na nią z sympatią i podziwem. Domyślał się, że ma to związek z uprawianiem jogi. Wyznała mu, że joga ogromnie jej odpowiada, podobnie jak filozofia buddyjska, którą upodobała sobie bardziej niż wszystkie inne religie poznawane podczas podróży.

Sytuacja, w jakiej znalazł się Vale, była - musiał to przyznać - bardzo dziwna. Wyobrażał sobie zdumienie przyjaciół. Nie uwierzyliby, gdyby im powiedział, że przez cały ten długi czas nie kochał się z Ankaną i ona do tego nie dążyła. Było oczywiste, że nie myśli o miłości. Markiz nie był nawet pewien, czy go lubi. Pragnął jak najprędzej doprowadzić ją do ojca.

- Czy przyszło ci kiedyś do głowy - zapytał ją pewnego wieczoru po kolacji -

że wyjeżdżając w ten sposób z Londynu zaprzepaściłaś swoją szansę na znalezienie odpowiedniego męża?

Ankana spojrzała na niego zdumiona.

- Jeżeli uważasz, że dlatego zgodziłam się na prezentację u dworu i na uczestniczenie w przyjęciach i balach, które dla mojej ciotki Alicji są najważniejsze, to jesteś w błędzie.

- W takim razie dlaczego to robiłaś? - dopytywał.

- Papa powiedział mi, że mama, gdyby żyła, życzyłaby sobie tego, chciałam więc sprawić mu przyjemność. Ale nie miałam zamiaru wychodzić za mąż, w każdym razie nie przed poznaniem świata. - Jej głos wibrował, gdy mówiła: - Podróże z papą są bardziej emocjonujące niż jakiegokolwiek inne przygody i nieporównanie atrakcyjniejsze niż przebywanie z jakimś głupim młodym mężczyzną, który nie myśli o niczym innym jak tylko o zwycięstwie swojego konia w biegu o Złoty Puchar w Ascot oraz o zaproszeniu do Marlborough House.

- Nie wszyscy mężczyźni myślą jedynie o takich rzeczach - roześmiał się markiz.

- Nie bardzo ci wierzę - odparła Ankana. - Słyszałam, jak przyjaciółki ciotki Alicji mówiły w uwłaczający sposób o swoich mężach i z całym entuzjazmem o kochankach. - Umilkła, spojrzała na markiza i rzekła surowo: - Doszłam do wniosku, iż mężczyzna, który traci czas z tego rodzaju kobietą, musi być skończonym głupcem.

- Widzi mi się, że i mnie zaliczyłaś do tej kategorii mężczyzn - zauważył Vale.

Ankana spojrzała nań zdziwiona tą osobistą uwagą, potem, przechylając

głowę na bok, rzekła:

- Jesteś niewątpliwie dużo inteligentniejszy, niż się spodziewałam, lecz dziwię się, że marnotrawisz życie w tak niemądry sposób.

- Dlaczego osądzasz mnie na podstawie plotek? - obruszył się. - To nieuczciwe. W Anglii mężczyzna jest tak długo niewinny, dopóki nie dowiedzie mu się winy,

- Gdybyś słyszał - zaśmiała się dziewczyna - co o tobie mówią damy, stwierdziłbyś, że bardzo przekonująco świadczą na rzecz oskarżenia.

- Cokolwiek mówiły, nie było to skierowane do ciebie - rzucił ostro.

- Oczywiście rozmawiając o tobie nie brały pod uwagę mojej obecności - odparła. - Byłam tylko nieopierzoną, głupią gąską, zupełnie nieważną. - Parsknęła śmiechem i dodała: - Tak byłoby oczywiście dopóty, dopóki nie poślubiłabym kogoś utytułowanego i przez to nie stała się częścią ich małego, zamkniętego niczym akwarium światka ze złotymi rybkami, w którym sprawują władzę absolutną.

- Uważam, że jesteś zbyt nieprzejednana w stosunku do wyższych sfer - stwierdził markiz. - Zapominasz, że ludzie, którzy rządzą krajem i którym zawdzięczamy wielkość i dobrobyt, muszą się czasem odprężyć z dala od obowiązków. - Zamilkł, a po chwili podjął z uśmiechem: - Do tego jest im potrzebna kobieca delikatność.

Ankana oparła łokcie o stół i ujęła policzki w dłonie. Popatrzyła na markiza z uwagą) nim odpowiedziała:

- Nigdy nie brałam tego pod uwagę. - Przechyliła głowę na bok i kontynuowała: - Istotnie, skoro przez większość czasu są zajęci problemami politycznymi i społecznymi w parlamencie lub w swoich ministerstwach, to od

kobiet nie oczekują mądrości, lecz łagodności i uległości.

- Bardzo dobrze to podsumowałaś.

- Papa twierdził, że mądry mężczyzna pragnie rozmawiać z ukochaną kobietą jak z równą sobie. Kochał mamę, gdyż była tak mądra, jak piękna.

- Twój ojciec rozmawiał z jedyną kobietą, która miała dla niego znaczenie - powiedział markiz. - Damy, o których mówisz, nie tyle obmawiały swoich mężów, co szukały rozrywki.

Ankana poprawiła się w krześle.

- Rozumiem, co masz na myśli - rzekła. - Ale uważam, że jest to niegodziwe i nieprzyjemne. Mężczyzna zapewne pragnie czegoś więcej aniżeli ładne ciało.

Markiz pomyślał, że ich rozmowa staje się dość niezwykła, zważywszy na wiek Ankany. Poczul jednak, że musi uprzytomnić dziewczynie pewne rzeczy, powiedział więc spokojnie:

- Myślę, że każdy mężczyzna szuka idealnej kobiety, kochanki i żony, która da mu tyle szczęścia, że nie będzie go pragnął od innych. - Westchnął i kontynuował: - Niestety, rzeczy zwykle wyglądają inaczej, niż chcielibyśmy. - Chcąc wyrazić to obrazowo, sięgnął po ilustrację i rzekł: - Te oto kwiaty są zwiędłe i uschnięte, nie pozostaje więc nic innego, jak wyrzucić je i postarać się o inne: różę, lilię lub orchideę. - Przerwał na chwilę i dodał: - Wszystkie są piękne na swój sposób, lecz być może niedoskonałe dla szukającego.

Zapadła cisza, którą przerwała Ankana.

- Rozumiem cię. Lecz jeżeli ktoś taki jak ty szuka jedynie doskonałości, czyż nie jest zawsze rozczarowany?

- To prawda - odparł. - Lecz chyba nie spodziewasz się, że przestanę szukać? Nieustannie dążymy do gwiazd, choć nikt ich jeszcze nie dosięgnął.

Ankana rozważała coś przez chwilę, a potem, ku jego zaskoczeniu, rzekła:

- Może źle cię wczoraj osądziłam i powinnam teraz... przeprosić?

- Dziękuję - mruknął.

Po odejściu Ankany stwierdził, że wcale nie jest sarkastyczna. Uznała przecież, że należą mu się przeprosiny. „Jest najniezwyklejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem!” - orzekł w duchu.

Zasnął zastanawiając się, o czym będą rozmawiali następnego dnia.

W salonie zaszły zmiany, na których widok oczy Ankany rozbłysły uciechą. U wezłowania każdej sofy lśniły trzy rewolwery. W szklanym fryzie nad oknami tkwiło dziewięć winchesterów, oddających po piętnaście strzałów bez ładowania. Magazyn amunicji mieścił się w szafie na książki. Cztery mosiężne działka wytoczono na pokład dla obrony przed ewentualnym atakiem piratów na morzach chińskich.

- Mamy nadzieję, że nie natkniemy się na morskich bandytów - wyjaśnił markiz, gdy Ankana wydała okrzyk na widok zgromadzonej broni. - Niemniej nauczyłem się być gotowy na każdą ewentualność. - Po chwili dodał z powagą: - Nie życzylibym sobie, by mój jacht został splądrowany, zwłaszcza że korsarze, gdy dostaną się na pokład zdobytego statku, zabijają kogo popadnie.

Ankana zdawała sobie sprawę, że markiz postępuje roztropnie. Jednocześnie modliła się, by ani piraci, ani cokolwiek innego nie przeszkodziło im w podróży do Bangkoku.

Nocą, gdy minęli południowy cypel Półwyspu Indyjskiego, zdało jej się, że słyszy strzał. Wskoczyła z łóżka, podbiegła do iluminatora w swojej kabinie i rozsunęła zasłonki. Niczego nie dojrzała, ale strzał się powtórzył. Chociaż był daleki, przestraszyła się, wybiegła z kajuty i zapukała do drzwi markiza. Nie

usłyszawszy odpowiedzi, otworzyła je. Markiz spał, w pomieszczeniu panowała ciemność.

Ocknął się natychmiast, ledwo przy nim stanęła. Był przecież, jako żołnierz, za pan brat z niebezpieczeństwem. Wyczuł jej obecność. A gdy zobaczył jej sylwetkę w smudze światła wpadającego z korytarza, usiadł na łóżku.

- Co się stało? - spytał.

- Słyszałam strzały - wyszeptała. - Boję się, że to piraci!

- Zaraz się dowiemy - zawołał. - Włóż coś ciepłego, a ja za minutę będę gotowy.

Wybiegając w popłochu ze swojej kajuty nie pomyślała, by narzucić szlafrok. Nie miała pojęcia, że w świetle korytarza jej smukłe ciało jest wyraźnie widoczne. Wróciła więc teraz do siebie, by wypełnić polecenie markiza.

Kilka sekund później usłyszała, jak opuszcza swoją kajutę, by dołączyć do niej. Ruszył przodem, ku schodkom wiodącym na pokład. Otworzył drzwi i znaleźli się pod pokładową markizą. Gdy kroczył ku balustradzie, światło księżycy i gwiazd, migocąc na falach, dobyło z ciemności niedaleki ląd. Markiz szybko wyliczył, że opływają południowe wybrzeże Cejlonu, odgłosy wystrzałów więc, które słyszała Ankana, muszą pochodzić stamtąd. Zresztą nastąpiła kolejna eksplozja, a po niej dalsze. Nabrał pewności, że jakaś bitwa rozgrywa się albo pomiędzy dwoma statkami, albo też pomiędzy statkiem a lądem.

Cokolwiek się działo, pobiegł szybko do mostka kapitańskiego, gdzie zastał kapitana.

- Pannę Brook obudziły wystrzały - oznajmił. Był pewien, że Ankana jest tuż za nim.

- Myślę, milordzie - odrzekł kapitan - że nadzialiśmy się na korsarzy i nie pozostaje nam nic innego, jak umykać co sił.

- Jestem tego samego zdania - odparł markiz.

- Właśnie zamierzałem wydać rozkaz użycia dział - ciągnął kapitan - lecz byłoby to przedwcześnie.

Vale wpatrywał się w ciemność. Światło księżyca pozwalało widzieć na pewną odległość. Z ulgą dostrzegł tylko jeden statek w zasięgu wzroku. Zdał sobie sprawę, że kapitan zwiększa szybkość i kieruje jacht na pełne morze.

- Myślę, że nic nam nie grozi, kapitanie - powiedział markiz. - Nie zaniedbujmy jednak żadnych środków ostrożności. Proszę zarządzić podwójną wachtę nocną, przynajmniej na kilka najbliższych godzin.

- Zrobione, milordzie.

Ankana stała obok niego w milczeniu, lecz widział, że jest zalekniona. Bezwiednie ujął jej dłoń. Poczuł drżenie drobnych palców i pomyślał, że po raz pierwszy dziewczyna okazuje lęk. Sprowadził ją z mostka i powiódł do miejsca przy poręczy, skąd przed chwilą nasłuchiwali odgłosów strzelaniny. Nie miał już wątpliwości, że dwa statki strzelają do siebie z karabinów i dział.

- Mogliby w nas trafić - wyjąkała. - Mogliby nam przeszkodzić w podróży do Bangkoku i do... papy.

Markiz stłumił cisnące mu się na usta słowa, że gdy dotrą do stolicy Syjamu, Calvin Brook z całą pewnością nie będzie tam na nich czekał. Zamiast tego oświadczył:

- Mieliśmy dużo szczęścia i powinniśmy być wdzięczni losowi, że statek piracki, najwidoczniej przyczajony na tych wodach, skierował się w inną stronę.

- Dziękujemy za to Bogu.

Powiedziawszy to, Ankana odrzuciła głowę do tyłu i spojrzała ku gwiazdom. Wyglądała czarująco w świetle księżyca. Markiz uświadomił sobie, że ciągle trzyma ją za rękę, choć jednocześnie doświadczał dziwnego uczucia, że ona najzupełniej zapomniała o jego istnieniu.

- Czy myślisz, że bogowie, w których wierzysz, patrzą na nas? - spytał tonem niefrasobliwym, ale nie kpiarskim.

- Oczywiście! I ktoś musi być im wdzięczny. Ja jestem bardzo, bardzo wdzięczna, że nasze działa milczą i że nie byliśmy zmuszeni użyć rewolwerów z salonu.

- Chciałbym wiedzieć - wtrącił markiz - czy potrafiłabyś użyć winczestera.

- Oczywiście, że potrafiłabym! - wykrzyknęła. - Papa nauczył mnie, gdy byłam całkiem mała. Twierdził, że nigdy nie wiadomo, kiedy taka umiejętność może się przydać.

- Ja również jestem bardzo rad - powiedział markiz - że nie my, ale kto inny walczy teraz z korsarzami.

Poczuł, że palce Ankany zacisnęły się na jego dłoni.

- Będę się modliła - rzekła - byśmy bezpiecznie dotarli do Bangkoku. Tak żarliwie błagałam bogów o opiekę nad tatą, że zupełnie zapomniałam, iż my również potrzebujemy ochrony.

Powiedziała to tak poważnie, jakby udzielała sobie nagany. Uśmiechnęła się do markiza i, uwolniwszy rękę z uścisku, zniknęła za przeciwległymi drzwiami.

Przez chwilę patrzył za nią zaskoczony. Pragnął kontynuować rozmowę. Nie przywykł do tego, by kobieta opuszczała go, zanim przestał jej potrzebować.

Spojrzał za siebie, tam gdzie w oddali lśniły rewolwery, i stwierdził, że żywi nadzieję, iż modlitwa Ankany okaże się skuteczna.

Dziewczyna wyglądała tak uroczo z twarzą zwróconą do księżyca. A może naprawdę jest w kontakcie z bogami, którzy - jak zapewniła - wzięli ich w opiekę, a także z duchami, zamieszkującymi szczyty gór? Zaśmiał się. „Jeżeli ta podróż potrwa dłużej - pomyślał - zacznę i ja wierzyć w magię, czary, gusła i, oczywiście, w nieśmiertelnych bogów Olimpu.”

Zaczął spacerować po pokładzie. Zstępując po schodkach prowadzących do kabiny, stwierdził, że uczestniczy w dziwnej i niezwykłej wyprawie, podczas której - ku swemu zdumieniu - nie doświadcza uczucia nudy.

## Rozdział czwarty

„Koń Morski" wpłynął do Zatoki Biskajskiej. Kiedy zbliżali się do rzeki, nad którą leży Bangkok, markiz powiedział do kapitana: - Zdaje się, że pobiliśmy rekord!

- Z całą pewnością, milordzie - odparł zagadnięty. - Zarzucimy kotwicę przed pałacem Menam Cza Phya w dwudziestym dniu podróży.

- Wspaniale! - wykrzyknął markiz. - Gratuluję, kapitanie. I wyrażam wdzięczność.

- Dziękuję, milordzie. Jestem z siebie dosyć zadowolony, chociaż z początku uważałem, że to niemożliwe.

Markiz miał świadomość, że sukces swój zawdzięczają temu, że „Koń Morski" płynął z maksymalną szybkością przez wszystkie dni i noce. I oto są u celu, a przed nimi nowe problemy do pokonania. Przede wszystkim trzeba będzie wytłumaczyć obecność Ankany.

Gdy wpłynęli na wielką rzekę z latarniami morskimi po obu stronach, pełną zatopionego żelastwa i innych zatorów mających powstrzymać najeźdźcę, poczuł rosnące podniecenie.

Jacht sunął w górę rzeki, mijając mangrowce, wysokie, pierzaste bambusy, majestatyczne drzewa palmowe powiązane palmami oraz gigantycznymi pnączami. Towarzyszyły mu łodzie wiozące ryby na bangkogski targ. Wyróżniały się wysokimi rufami i dziobami oraz pięknymi kształtami, a także dziwacznymi podwójnymi sterami, typowymi dla łodzi wikingów. Były przystosowane do różnego rodzaju połowów.

Dzieci pływały po rzece w małych łódkach, skakały do wody zbełtanej przez

statki parowe, krzyczały i śmiały się, machały do mijającego ich jachtu.

Liczne domki unosiły się na tratwach.

W miarę jak posuwali się w górę rzeki, jej brzegi były coraz bardziej zabudowane przystaniami, pomostami, łuszczarniami ryżu, przy których tłoczyły się pełne ludzkiego zgiełku łodzie transportowe.

Wszystko to było dla markiza fascynujące. Jednocześnie wyobrażał sobie, że i Ankana, jeśli obserwuje te widoki, nie posiada się z zachwytem. W końcu dotarli tu i wkrótce zajmą się - zgodnie z jej wolą i wiarą - poszukiwaniem Brooka. Był przekonany, iż jej nadzieja na odnalezienie ojca wypływa z rozpaczki, rzucił więc w stronę salonu:

- Chciałbym z tobą porozmawiać, Ankano. Spojrzała nań swoimi wielkimi ciemnymi oczami.

Nim otworzył usta, doznał niemiłego wrażenia, iż dziewczyna wie, o czym on chce z nią rozmawiać.

- Gdy dobijemy do Bangkoku - zaczął - udam się natychmiast do pałacu, by zobaczyć się z królem i dowiedzieć, co się naprawdę stało z twoim ojcem.

- Pójdę z tobą - oświadczyła cicho dziewczyna po chwili milczenia.

- Myślę, że nie byłoby to właściwe - odparł szybko. - Król, zakłopotany twoją obecnością, mógłby stać się bardziej powściągliwy w rozmowie niż zazwyczaj.

- Rozumiem, co chcesz mi powiedzieć - odparła Ankana. - Ale mam zamiar ci towarzyszyć, czy chcesz tego, czy nie, lub, jeśli wolisz, poproszę króla o osobistą audiencję. - Umilkła, po czym zakończyła stanowczo:

- Czuje, że nie odmówi córce zaginionego ojca. Markiz zacisnął wargi: zrozumiał, że nie pokona jej uporu. I że dalsze perswazje byłyby beznadziejne. Powiedział więc:

- Dobrze, pójdziemy tam razem. - I dodał surowo:

- Lecz pozwól sobie uprzytomnić, Ankano, że jeżeli trzeba będzie przeprowadzić jakiegokolwiek dochodzenie i jeżeli zagrozi nam niebezpieczeństwo, pozostaniesz na pokładzie.

Spodziewał się kontrargumentów. Ankana jednak w odpowiedzi roześmiała się.

- Czy ty naprawdę myślisz, że ja się na to zgodzę? - spytała po chwili. - Jeżeli zostawisz mnie na statku, w razie potrzeby sama podejmę śledztwo, by zbadać, co się dzieje z papą. - Obdarzyła go uśmiechem i dodała:

- Ośmielę się rzec, że mam takie same, a może i większe niż ty, szanse na sukces.

- Posłuchaj mnie, Ankano - powiedział markiz.

- To nie jest zabawa. - Popatrzył na nią surowo i kontynuował: - Dobrze wiesz, że twój ojciec i ja bywaliśmy już w różnych opałach. Tym razem jednak, jeżeli będziesz z nami, nie uda nam się wyjść z nich cało.

- Teraz uderzyłeś poniżej pasa - zaprotestowała dziewczyna. - Skąd możesz mieć taką pewność? Nie masz żadnego powodu przypuszczać, że będę dla ciebie raczej przeszkodą aniżeli pomocą.

- Do licha! - wykrzyknął. - Zrobisz, co ci powiedziałem: zostaniesz na jachcie. Nawet gdybym cię musiał zamknąć w kabinie.

Ankana nie odezwała się ani słowem. Uśmiechnęła się w sposób, który wyprowadzał go z równowagi.

- Sprawiasz mi kłopoty - wycedził - ponieważ jesteś krnąbrna. Ojciec pozwalał ci chodzić własnymi drogami. - Spojrzał na nią gniewnie i dodał: - Ale ja nie życzę sobie, byś została zamordowana na moich oczach. Nie chcę ponosić

odpowiedzialności za twoją śmierć. Zrobisz więc, co ci każe.

- Dlaczego miałabym robić, co mi każesz? - spytała. - Ponieważ w przeciwnym razie zmuszę cię do tego - odparł, wiedząc, że go nie posłucha. Co gorsza, nie miał pojęcia, jak ją nakłonić do pozostania na statku. Odwrócił się gniewnie do okna i patrzył na pływające domki, które akurat mijali. Nagle zza pleców dobiegł go jej głos, nadspodziewanie łagodny:

- Proszę... nie kłóćmy się już... Ja naprawdę jestem ci szczerze wdzięczna, że przywiozłeś mnie tutaj... A jedynym rzeczywistym problemem jest znalezienie papy.

Markiz nie odwrócił się do niej, lecz odezwał się zupełnie innym niż dotychczas tonem:

- A jeżeli go nie znajdziemy?

- Wtedy przyznam, że to ty miałaś rację, a nie ja - odpowiedziała spokojnie Ankana.

Godzinę później ujrzeli pierwsze wieżyczki pałacu. Gdy zarzucili kotwicę pod jego murami, markiz zobaczył złote świątynie lśniące w blasku słońca i niezliczone okna pod pałacowym stropem.

Wkrótce potem zszedł z Ankana na ląd. Malownicze budowle pałacowe ze złoconymi spiczastymi dachami, pagody najeżone pinaklami wywarły na nich ogromne wrażenie.

Przy wejściu do pałacu powitał ich szambelan, czyli phaya. Miał na sobie długą białą marynarkę ze złotymi guzikami, jedwabne purpurowe panung, dziwne luźne bryczesy noszone powszechnie w Syjanie przez mężczyzn i kobiety, białe jedwabne pończochy i buty z klamerkami. Powiedział niezrozumiały, żeby nie rzec złą angielszczyzną, iż jest zdumiony szybkością, z

jaką markiz zjawił się u króla. Powitał oboje przybyszów w imieniu jego wysokości, który - zapewnił - przyjmie ich na prywatnej audiencji tak prędko, jak to tylko będzie możliwe. Tymczasem zabiera ich do Saranrum, lub inaczej, do Pałacu Spokojnej Radości, gdzie zostanie im podana mrożona kawa. Dodał ponadto, że pałac jest do ich dyspozycji, jeżeli tylko zechcą pozostać na lądzie.

Markiz nie udzielił mu jasnej odpowiedzi na to pytanie. Pomyślał, że mądrzej będzie dowiedzieć się najpierw od króla, co się stało z Calvinem Brookiem. Jeżeli, jak przypuszczał, jego śmierć okaże się faktem dokonanym, to im prędzej Ankana przyjmie to do wiadomości i zechce opuścić Bangkok, tym lepiej.

Szambelan oczywiście natychmiast poinformował króla o przybyciu gości. Niedługo czekali w Pałacu Spokojnej Radości na pojawienie się sługi z wieścią, że jego wysokość jest gotów ich przyjąć. Poszli rozpalonym od słońca dziedzińcem do pałacu Czakri, do Pokoju Przyjęć, udekorowanego portretami poprzedników monarchy. W końcu sali stał tron.

Kiedy zasiadł na nim Czulalongkorn, szambelan oraz inni dworzanie towarzyszący jego królewskiej wysokości wycofali się za drzwi. Widocznie oznajmił im, że pragnie pozostać sam na sam z gośćmi.

Był przystojnym mężczyzną, nie tylko roślejszym niż większość mężczyzn z jego rodu, ale i bardziej urodziwym. Wyciągnął rękę do pochylonego w ukłonie markiza i rzekł:

- To wielka radość widzieć cię znowu, milordzie.

- Wasza wysokość niezmiernie dla nas łaskaw - odparł gość. - Pragnę wyrazić nieskończoną wdzięczność za zaproszenie mnie do złożenia wizyty władcy Syjamu, nawet jeżeli ma ono związek z tragicznymi okolicznościami.

Król spojrział na Ankane, markiz więc pośpieszył z wyjaśnieniem:

- Jeżeli wasza królewska mość pozwoli, przedstawię waszej miłości córkę pana Calvina Brooka, Ankanę. Jej gorącym pragnieniem było przybyć tu ze mną, a ja, proszę o zrozumienie, nie potrafiłem jej odmówić.

- Słyszałem o pani, panno Ankano - powiedział król.

Mówił doskonałą angielszczyzną. Mimo to, w obawie przed popełnieniem błędu, często posługiwał się tłumaczem. Przy markizie jednak czuł się swobodnie i obywatel bez pomocy. Uprzejmym gestem zaprosił gości, by usadowili się w sztywnych fotelach, stojących pośrodku sali.

Ankanie wydało się dziwne takie wyizolowanie ich w wielkim pomieszczeniu. Gdy jednak król odezwał się zniżonym głosem, doszła do wniosku, że było to celowe i zamierzone. Żaden człowiek, nawet o niezwykle wyostrzonym słuchu, nie dosłyszałby słów wypowiedzianych przez Czulalongkorna.

Król zwrócił się najpierw do Ankany, uważając widocznie, że tak właśnie trzeba:

- Muszę wyznać pani, panno Ankano, że kiedy powiadomiono mnie o śmierci Calvina Brooka, byłem do głębi wstrząśnięty.

Dziewczyna patrzyła na króla. Z wyrazu jej oczu markiz pojął, że zagląda w głąb jego duszy. W ten sam dziwny sposób usiłowała przecież przeniknąć i jego myśli. Po bardzo krótkim namyśle odezwała się:

- Doceniam uprzejme kondolencje waszej wysokości, lecz sądzę, iż wasza wysokość wie równie dobrze jak ja, że są zbyteczne.

Król milczał przez chwilę, po czym rzekł:

- Czy chce pani przez to powiedzieć, iż wątpi w prawdziwość raportu o śmierci ojca.

- Tego właśnie pragniemy dowiedzieć się od waszej wysokości - odparła.

Jakby uważając, że należy wyrazić to jaśniej, markiz dodał:

- Panna Brook uważa, że w raporcie o śmierci ojca tkwi jakaś zagadka. Serce jej mówi, że ojciec żyje.

Nie mógł, choć próbował, powściągnąć własnych wątpliwości, król więc, który wyczuł je w tonie głosu markiza, rzekł w odpowiedzi:

- Powodem, dla którego zaprosiłem pana tutaj, milordzie, jest zaiste jakowaś tajemnica tkwiąca w owym raporcie. - Urwał, uśmiechnął się i podjął: - To wszystko, co mogę powiedzieć, a pan już sam zbada, czy moje wątpliwości są zasadne.

Markiz, usadowiwszy się nieco wygodniej w fotelu, powiedział:

- Mam tylko jedną prośbę do waszej wysokości, prośbę o szczerść, taką, jaką byłem zaszczycony dotychczas.

- Jak dobrze wiesz, milordzie - odrzekł król - jestem ci nieskończenie wdzięczny za pomoc okazywaną panu Brookowi, gdy świadczył nam usługi, o których mówienie teraz byłoby błędem. - Rozejrzał się wokół siebie i dodał: - Jego śmierć byłaby niepowetowaną stratą nie tylko dla mnie, ale także dla Syjamu.

Słowa króla tchnęły szczerścią, która zdawała się płynąć prosto z serca. Ankana, w niecierpliwości swojej, odrzucając wszelką dyplomację, pochyliła się w stronę jego wysokości i złożwszy ręce rzekła:

- Błagam, by wasza królewska mość powiedział nam, co się zdarzyło.

Król zaczął zniżonym głosem:

- Wezwałem twojego ojca na pomoc, gdy opat jednej z naszych najświetniejszych świątyń, Czieng-mai, zawiadomił mnie o kradzieży bezcennego

skarbu.

Markiz spodziewał się historii tego rodzaju.

- Wiesz oczywiście o tym - ciągnął król - że w wielu naszych świątyniach, prócz posągów Buddy, znajdują się liczne odciski jego stóp.

Była to prawda. Stopę Buddy, podobnie jak jego posąg, pokrywano w Syjamie maleńkimi blaszkami ze złota. Czynili to wierni podczas modlitw w hołdzie Oświeconemu. W kościołach rzymskokatolickich zapala się świece na ołtarzach świętych.

- Pewien mnich z Czieng-mai - kontynuował monarcha - miał wizję, która zaprowadziła go do naszych kopalń drogich kamieni i pozwoliła znaleźć tam pięć bezcennych, ogromnych szafirów. - Po krótkiej przerwie mówił dalej: - Zabrał je do świątyni w Czieng-mai. Jako paznokcie u stóp kamiennego Buddy szafiry objawiły wkrótce niezwykłą moc, której działanie wypróbowywano przez ostatnie pięć lat.

Ankana słuchała z przejęciem, wpatrzona w twarz króla. Markiz zauważył, że jej wargi drgnęły, gdy Czulalongkorn powiedział: „Potem zostały skradzione.”

- Jak to możliwe? - zdziwił się Vale, wiedząc, że takich skarbów mnisi strzegą dzień i noc.

- Obaj strażnicy zostali zasztyletowani, a szafiry zrabowane przez człowieka, który najwidoczniej mógł wchodzić do świątyni nie budząc podejrzeń.

- Czy to się zdarzyło w nocy?

- Nie, wtedy świątynia jest zamknięta i pilnie strzeżona.

Markiz spojrzał na króla zaskoczony, ten za dodał:

- Kradzież wydarzyła się wczesnym rankiem, tuż po otwarciu, w obecności kilku zwiedzających, kiedy mnisi nie byli jeszcze tak czujni jak w ciągu dnia.

- Co się stało, kiedy zauważono zniknięcie szafirów? - spytał Vale.

- Opat był na tyle przezorny, że nie pozwolił, by ludzie z Czieng-mai dowiedzieli się o kradzieży. Natomiast bezzwłocznie wysłał posłańca do Bangkoku, z wiadomością dla mnie. - Czulalongkorn westchnął i kontynuował: - Dobrze wiesz, milordzie, że w północnej części mojego kraju, a także na granicy z Burina dzieją się różne niedobre rzeczy. - Uśmiechnął się do markiza i dodał: - Gdyby ludzie w Czieng-mai nabrali podejrzeń, że sprawcami są ich starzy wrogowie, polałaby się krew, ściągając nieszczęście na cały Syjam.

- Zgadzam się z waszą królewską mością - przytaknął markiz.

Był w pełni świadom, że Czieng-mai przez długi czas stanowiła przedmiot sporu, aż wreszcie w ostatnim stuleciu została uznana za część Syjamu.

- Gdy tylko dowiedziałem się o wydarzeniu w świątyni - kontynuował król - posłałem po pana Brooka. Ledwo przedstawiłem mu całą sprawę, oznajmił, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by dowiedzieć się, co się stało ze świętymi szafirami, i jeżeli to możliwe, odzyska je.

Markiz skinął głową, jakby usłyszał właśnie to, czego oczekiwał, król zaś ciągnął:

- Jak najszybciej poinstruowałem opata z Czieng-mai, by upozorował, że szafiry nadal zdobią stopy posągu Buddy.

Markiz spojrzał pytająco, Czulalongkorn więc wyjaśnił:

- Z powodu przypisywanej im świętości czciciele Buddy, modlący się w świątyni, pokryli je całkowicie złotymi blaszkami, ludzie więc, choć ich nie widzą, są przekonani, że szafiry tkwią na swoim miejscu.

- To był dowód mądrości waszej królewskiej mości - rzekł markiz. - Tak więc Calvin Brook wyruszył z misją, która mu została powierzona.

- Chociaż nie miałem od niego żadnych wieści, byłem spokojny - ciągnął król - aż do chwili, gdy trzy tygodnie temu powiadomiono mnie, że ciało pana Brooka zostało znalezione w rzece nieopodal Czieng-mai.

Przy tych słowach Czulalongkorn spojrział z niepokojem na Ankanę, jakby spodziewając się, że krzyknie lub zemdleje. Nie poruszyła się jednak, a jej wielkie oczy wpatrywały się w jego twarz. Podjął więc swą relację:

- Ciało leżało w wodzie przez długi czas i było nie do rozpoznania. - Odetchnął głęboko i mówił dalej:

- Znalaziono jednak przy nim papiery, potwierdzające tożsamość, a na małym palcu jednej ręki zauważono ten oto pierścień.

Wydobył sygnet z kieszeni swego pięknie wyszywanego płaszcza i trzymając go na otwartej dłoni pokazał Ankanie. Wstała, uklękła przed królem, a on podał jej klejnot. Zacisnęła na nim palce i zamknęła oczy.

Przez chwilę markizowi zdawało się, że jest bliska omdlenia. Milczał wszakże, podobnie jak król, a wtedy ona otworzyła oczy i rzekła:

- Wiem teraz... z absolutną pewnością... że papa jest wśród żywych.

- Skąd czerpiesz tę pewność? - spytał król. Ankana, wciąż klęcząc, podniosła nań oczy.

- Z dwóch faktów, wasza wysokość - odparła.

- Po pierwsze, papa żył, gdy zdejmował sygnet z palca i wkładał go na palec nieżyjącego człowieka. - Nabrała powietrza i powiedziała: - Po drugie, wyobrażam sobie, że papa wyruszył do Czieng-mai w przebraniu. Nie był przecież tak głupi, by z miejsca zdradzić się przed szpiegującym go agentem, kim jest.

Powiedziała to z lekką nutą triumfu w głosie. Król spojrział na nią i rzekł:

- To wydaje się sensowne! A ty jak myślisz, milordzie?

- Nie chciałbym przedwcześnie rozbudzać nadziei Ankany - odparł zagadnięty. - Mogę się jedynie modlić, by mi było dane podbudować jakoś jej optymizm i znaleźć żywego Calvina Brooka.

- Powiedziałeś to, co spodziewałem się usłyszeć - rzekł z uśmiechem król. - Wiesz dobrze, milordzie, że wszelka pomoc, jakiej jestem w stanie ci udzielić, jest do twojej dyspozycji. Wystarczy, że o nią poprosisz.

- Dziękuję, wasza wysokość - odparł markiz. - I obiecuję, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, by odnaleźć Calvina Brooka oraz odzyskać święte szafiry.

Król powstał, podnieśli się także markiz i Ankana.

- Jestem ci bardzo wdzięczny za pomoc - rzekł Czulalongkorn. Użył prostych słów, lecz markiz był w pełni świadom ich znaczenia.

Gdy już wszystko zostało powiedziane, Ankana dygnęła, a markiz skłonił się głęboko. Król ruszył do wyjścia. Gdy pokonał dzielącą go od nich odległość, drzwi otworzyły się i zniknęły. Markiz spojrzał na Ankanę - trzymała w dłoni pierścień ojca. Przyglądała mu się z niezwykłym wyrazem w oczach.

W sali zjawił się szambelan, pytając żywo:

- Czy jego lordowska mość pragnie pozostać w pałacu, czy też wrócić na jacht?

- Myślę, że na razie wrócimy na jacht - odrzekł Vale. - Ale jestem ogromnie wdzięczny jego wysokości za wspaniałomyślne zaoferowanie gościny.

- Proszę przedstawić mi swoje żądania - ciągnął szambelan. - Wolą jego wysokości jest, bym był posłuszny wszelkim pańskim życzeniom. - Skłonił się i kontynuował: - Dopóki jacht będzie stał tutaj na kotwicy, słudzy królewscy

spełniać będą pańskie rozkazy.

- Mogę tylko raz jeszcze wyrazić wdzięczność - rzekł markiz.

- Jeżeli pragnie pan zjeść dziś wieczorem kolację z jego wysokością, można to zaaranżować.

- Pomyślę o tym - obiecał markiz. - Proszę jednak zrozumieć, że odbyliśmy długą podróż i oboje, panna Brook i ja, jesteśmy nieco zmęczeni nieustannym kołysaniem fal.

- Jakże mam to zrozumieć - zaśmiał się szambelan - skoro dane mi było żeglować jedynie po gładkich wodach rzeki.

Obaj mężczyźni śmiali się przez chwilę, po czym Ankana i markiz ruszyli w stronę jachtu eskortowani przez jednego z asystentów szambelana. Nie odzywali się do siebie przez całą drogę. Dopiero gdy weszli do salonu, Ankana, nie mogąc dłużej znieść milczenia, spytała:

- Co masz zamiar zrobić? Co planujesz? Markiz usadowił się w fotelu.

- A teraz - rzekł - przemyślmy sobie to wszystko bardzo dokładnie.

- Ależ my musimy działać błyskawicznie!

- Błędem jest podejmowanie jakichkolwiek działań bez stosownego namysłu - zauważył markiz. - Uśmiechnął się do niej i dodał: - Jeżeli, jak mniemasz, twój ojciec ukrywa się, nasza nierozwaga może zarówno jego, jak i nas kosztować życie.

Po krótkim milczeniu Ankana odrzekła:

- Wiem, że masz rację. Jestem niemądra. To dlatego, że tak bardzo martwię się o papę.

- Przypuszczam, że powiesz mi, co twoim zdaniem przytrafiło się Calvinowi - zaproponował.

Siedział w fotelu, ona zaś, klękawszy na dywaniku, opadła na pięty. W prostej muślinowej sukni, z długimi włosami rozsypanymi na ramionach wyglądała tak młodo, jak to sobie zamierzyła. Markiz przyłapał się na tym, że myśli z podziwem o jej opanowaniu. Wiedział, że kobiety z jego sfery w podobnej sytuacji płakałyby, tuliły się do niego i żebrały o pocieszenie. Albo też krzyczałyby histerycznie, że nie powinien wyzywać losu, lecz kogoś innego wyznaczyć do tej niebezpiecznej roboty.

Ankana nie patrzyła na markiza. Jej oczy wędrowały za blaskiem słonecznym widocznym przez okno salonu. Czuł, że stamtąd czerpie jakąś pomoc.

- Myślę - zaczęła zniżonym głosem - że papa zdawał sobie sprawę, iż będzie... tropiony. Dlatego wiedział, że musi... zniknąć całkowicie, by przekonać tych, którzy go śledzą, że go tam... nie ma. - Umilkła, skupiona na czymś, co podszeptował jej szósty zmysł, po czym rzekła: - Znalazł w rzece zwłoki mężczyzny. Nie ma w tym nic dziwnego, ponieważ w tej części świata takie rzeczy są na porządku dziennym. - Uśmiechnęła się lekko i dodała: - Z łatwością przebrał trupa w swoje ubranie i włożył mu na palec swój pierścień, by uwiarygodnić całą tę mistyfikację.

Markiz odparł spokojnie:

- Zgadzam się z tobą, że wypadki mogły mieć właśnie taki przebieg. Ale czy uważasz, że twój ojciec wciąż znajduje się w Czieng-mai?

- Jeżeli kamienie zostały zabrane ze świątyni, to i złodziej nie ma tam już nic do roboty - odparła.

- I tym razem zgadzam się z tobą - powiedział. - Jeżeli mam wyrazić swoje zdanie, to jestem przekonany, że kamienie najprawdopodobniej wędrują właśnie z Czieng-mai do miejsca, skąd pochodzą.

- Dlaczego tak uważasz? - spytała, patrząc nań ze zdumieniem.

- Mnich, który miał owo widzenie i który znalazł szafiry, zabrał je tam, skąd w istocie pochodziły. Wiedząc wszakże, jak czuli są Syjamczycy na punkcie wszystkiego, co święte i przynależne Buddzie - potrząsnął głową i kontynuował - nie mogę oprzeć się myśli, że ludzi z Czan Czantrabrat, gdzie, jak wiesz, wydobywa się drogie kamienie, czują się dotknięci, że pozbawiono ich rzeczy tak niezwykle cennych.

- Bardzo mądrze to wymyśliłeś! - klasnęła w dłonie Ankana. - Nie uważasz zatem, że to Burmańczycy ukradli kamienie?

- O wiele bardziej prawdopodobne jest - znów potrząsnął głową - że uczynili to ci, którzy nadzorują pracę w kopalni i mają się za wyłącznych właścicieli wszystkiego, co zostanie wykopane. - Urwał, po czym dodał: - Oni to, jestem pewien, poczuli się urażeni, iż rzecz tak niezwykłą zabrano do innej części królestwa, części, która przecież aż do końca minionego stulecia nie należała do Syjamu.

- Jestem pewna, że twoje supozycje są słuszne - oświadczyła dziewczyna. - Ale gdzie, twoim zdaniem, znajdziemy papę?

- Aczkolwiek nie jestem jak ty wyposażony w moc jasnowidzenia - powiedział z lekką kpina - wyobrażam sobie, że znajdziemy go na południu, a nie na północy.

- Co więc mamy robić? - spytała.

- Po pierwsze - odparł - chcę zobaczyć się z przyjacielem, którego znam o wiele dłużej niż twojego ojca. - Namyslał się przez chwilę, po czym rzekł: - To dama, która w przeszłości pomogła nam obu i która wie o wszystkim, co dzieje się w Bangkoku i w innych częściach kraju.

- To brzmi obiecująco - uradowała się Ankana.

- Możemy ją teraz odwiedzić?

- Z całą pewnością nie „my” - uśmiechnął się markiz. - Na spotkanie z Beebe muszę iść sam. Ty zostaniesz tu.

- To niegodziwe! Wiesz dobrze, że muszę iść z tobą! - wykrzyknęła gniewnie.

- Wymogłaś na mnie, bym ci pozwolił iść do króla - rzekł. - Lecz teraz obawiam się, że będziesz musiała przyjąć do wiadomości, iż twoja wizyta u Beebe jest absolutnie wykluczona.

- Dlaczego? - spytała Ankana wrogo.

- Ponieważ jej dom jest miejscem, gdzie bywają tylko mężczyźni - wyjaśnił. - Mam nadzieję, iż jesteś dostatecznie inteligentna, by pojąć, że istnieją miejsca zabaw niedozwolone dla kobiet. - Uśmiechnął się i dodał: - Zwłaszcza dla tych, którym zdarzyło się być damami.

Ankana przyjrzała mu się uważnie, po czym rzekła:

- Chcesz mi powiedzieć, że to są miejsca... nieodpowiednie?

Zawahała się przy ostatnim słowie, wyjaśnił więc:

- Jak już ci powiedziałem, istnieją miejsca rozrywek przeznaczone wyłącznie dla mężczyzn. Jedynymi kobietami są tam dziewczęta zaangażowane przez Beebe i nie tolerujące żadnej konkurencji.

Markiz starannie dobierał słowa, gdyż chciał mieć całkowitą pewność, że Ankana nie podąży za nim. Beebe prowadziła Dom Uciech, dokładnie taki sam, jak

Domy Rozkoszy w Paryżu oraz nieco gorsze w innych stolicach Europy. Ankana podeszła do okna i po chwili milczenia rzekła:

- Słyszałam o takich miejscach, lecz nie mogę pojąć, że ktoś taki jak ty... lub

papa... chce je odwiedzać!

- Jak już ci powiedziałem - odparł - Beebe była dla nas źródłem rzadkich informacji, skądinąd w Bangkoku nieosiągalnych. - Urwał, po czym kontynuował:

- Dzięki niej na przykład nakryliśmy, nim cokolwiek zdołał przedsięwziąć, człowieka, który zamierzał zamordować króla.

- Masz na myśli... anarchistę? - spytała z trwogą w głosie.

- Przybył tu z Europy, gdzie policja deptała mu już po piętach - opowiadał markiz. - Znaleźliśmy tego człowieka w Bangkoku i przyczyniliśmy się do ujęcia go, a następnie odesłania do Niemiec. Tam został osądzony i stracony za zamordowanie wielkiego księcia.

Ankana wzięła głęboki oddech i rzekła:

- Musisz mnie uważać za okropną głuptaskę. Nie miałam pojęcia, że tego rodzaju miejsca bywają pożyteczne w krytycznych sytuacjach.

- Nigdy się niczego nie dowiesz o takich miejscach - rzekł w odpowiedzi - jeżeli będziesz się zachowywała jak dotąd, czyli jak debiutantka.

- Teraz ty dokładasz starań, bym czuła się pogwałcona i upokorzona - zaprotestowała dziewczyna.

- Ale ja nie chcę nawet myśleć, że papa i ty macie do czynienia z tego rodzaju kobietami.

Z trudem dobywała z siebie słowa. Wyglądała przy tym tak niewinnie, że markiz odczuł nieodparte pragnienie, by wziąć ją w ramiona. Chciał jej też powiedzieć, że obroni ją nie tylko przed niebezpieczeństwami, ale także przed tym, co przykre i co mogłoby ją skalać i zhańbić. Gdy spojrzała na niego i oczy ich się spotkały, rzekła z lekkim wahaniem:

- Będziesz na siebie... uważał?

Słowa te wypowiedziała bezwiednie, lecz on zrozumiał, co miała na myśli, i pospieszył z odpowiedzią:

- Nie będę tam dłużej niż to konieczne, a gdy wrócę, być może będę miał informacje o twoim ojcu.

- Mam nadzieję - odparła.

Opuściła go i poszła do swojej kabiny. W samotności znów zaczęła myśleć o ojcu i że nieodzowne jest, by szybko nawiązali z nim kontakt. Przykro jej też było, że markiz poszedł do tego niegodnego i uwłaczającego mu miejsca. Czowała w piersi ból na myśl o jego obcowaniu z kobietami oferującymi mu to, co się zwie „rozkoszą”, i przez niektórych mężczyzn uważanymi za „pociągające”. Jakkolwiek starała się odsunąć to od siebie, przykre uczucie gnębiło ją aż do powrotu markiza od Beebe. Była pewna, że chodzi tu o miejsce, które w Biblii zostało opisane jako Sodoma i Gomora.

Ponieważ wypadało im iść do pałacu podczas największego upału i wyszli stamtąd wyczerpani, Ankana czuła się teraz bardzo zmęczona. Położyła się do łóżka. Nie miała jednak zamiaru spać, chciała bowiem zobaczyć się z markizem, gdy tylko wróci od Beebe. Myśląc o nim zdała sobie sprawę, jak bardzo był dla niej miły przez minione tygodnie. Jak interesująco się z nim rozmawiało w porach posiłków. Aczkolwiek uwielbiała pogawędki z ojcem, zauważyła, że umysł markiza pracuje inaczej.

Fascynujące było odkrywanie, co myśli o wszystkich tych sprawach, które ją interesują. Często patrzyli na nie z całkiem odmiennych punktów widzenia. Spierając się nie dochodzili do wspólnych konkluzji, ale czuli się radośnie ożywieni.

Każdego wieczoru przed zaśnięciem Ankana wymyślała nowe tematy do porannej pogawędki z markizem. Być może, pragnęła go zaskoczyć swoją wiedzą. Nie mogła jednak nie zauważyć, jak bardzo był przystojny. Chociaż szydziła z jego konwencjonalnego i materialistycznego umysłu, szybko się zorientowała, że z łatwością podejmuje wszelkie nowe tematy. Odgaduje też jej myśli, nawet jeśli ona stara się je przed nim ukryć.

Niestety markiz stanowił część świata, którego - od przybycia do Londynu - instynktownie nie znosiła. Po pierwsze, dlatego, że odseparował ją od ojca. Po drugie, uważała za stratę czasu obcowanie z ludźmi, których ciotka Alicja ceniła tylko z powodu tytułów oraz majątków. Ideałem Ankany było takie życie, jakie prowadził ojciec: podróżowanie po obcych krajach i poznawanie ich, często twarzą w twarz z niebezpieczeństwem. Nie pojmowała, jak kobiety mogą poświęcać tyle uwagi strojom i dlaczego robią wszystko, by wyglądać piękniej, niż postanowił Stwórca. Spostrzegła, że podejmują flirt z każdym mężczyzną, który pojawia się na horyzoncie, bez względu na to, czy jest żonaty, czy wolny, stary czy młody. „Istna strata czasu” - skonstatowała.

Teraz, po prawie trzech tygodniach obcowania z markizem rozumiała, dlaczego kobiety się za nim uganiają. Dlaczego zdobywają go, choćby na krótki czas, jak pióro do kapelusza, by potem chętnie się przed tymi, które zignorował. Nie pojmowała, dlaczego nagle zaczęła rozumieć rzeczy, którymi dotąd gardziła. Miała jednak świadomość, że markiz pracował z jej ojcem, który go bardzo cenił. Zorientowała się też, że był ustosunkowany i wszechstronnie wykształcony. Odznaczał się też, choć próbowała temu przeczyć, bardzo silną osobowością. Ludzie słuchaliby go i podziwiali niezależnie od pozycji społecznej i bogactwa. A teraz szedł do miejsca dostarczającego rozrywek

niedostępnych w jego sferze, z których ona była absolutnie wykluczona. Z właściwą sobie szczerością stwierdziła, iż doświadcza niezwykłego uczucia: zazdrości! Wyobrażała sobie, że kobieta pokroju Beebe zarzuca właśnie markizowi ramiona na szyję, zachowując się poufale, w sposób, na jaki nigdy by sobie nie pozwoliła dama. Być może całuje go!

Na myśl o jego mocnych, stanowczych wargach, całujących piękną Syjamkę lub młodziutką Chinę, Ankana odczuła chęć mordy. Stwierdziła, że byłaby zdolna zniszczyć wszystkie atrakcyjne kobiety tylko dlatego, że są kobietami. „Co się stało, że nachodzą mnie takie myśli?” - zatrwożyła się.

Tymczasem zrobiło się ciemno i do jej kabiny przez nie osłonięty iluminator wpadały jedynie błyski światła z pływających po rzece barek. Zdała sobie sprawę, że jest bardzo późno, a markiz nie wraca. I zatęskniła za nim całą swoją istotą. Uczyniła wysiłek, by przywołać go do siebie myślami. Zrozumiała, że go kocha.

## Rozdział piąty

Pożegnawszy się z Ankana markiz wynajął powóz. Podał woźnicy adres jednego z najbardziej popularnych wśród turystów miejsc w całym Bangkoku. Poza Paryżem było tylko kilka takich miejsc na świecie. Beebe stworzyła całkiem specjalny Dom Rozrywek dla wszelkiego rodzaju mężczyzn odwiedzających stolicę Syjamu. Była - jak powiedział markiz - kobietą wyjątkową.

Córka Francuza i Syjamki, otrzymała kosmopolityczne wykształcenie, zwiedziła też liczne kraje Europy. Potem wróciła do Bangkoku, by założyć mały burdel, inny niż te, które tu dotychczas funkcjonowały. Syjamki od dawna słynęły ze zręczności w masażu. Starzy ludzie przybywali do stolicy ze wszystkich stron kraju, by leczyć tu swoje bóle i dolegliwości. Beebe przekształciła masaż w źródło rozkoszy zmysłowych dla mężczyzn. Skojarzyła go z innym rodzajem przyjemności i oferowała swoim gościom coś, czego nie mogli dostać nigdzie indziej.

Markiz bywał w jej domu. Wchodząc tam teraz pomyślał, że jest bardziej luksusowy i nęcący niż dawniej.

Urządzony niezwykle gustownie, dzięki syjamskim ornamentom sprawia! na cudzoziemcach wrażenie egzotycznego.

Portier przy drzwiach poinformował go, że jest zbyt wcześnie i żeby przyszedł później. Gdy jednak markiz wyjaśnił mu, że przybywa do Beebe jako jej osobisty przyjaciel, został wprowadzony do małego, komfortowego saloniku. Tutaj każdy gość, jeżeli sobie tego życzył, mógł porozmawiać z kobietą, by ustalić, czego od niej oczekuje.

Minęło ledwie kilka chwil, a służący, ubrany w elegancki, typowo syjamski uniform, który mógłby nosić nawet w pałacu, zaprowadził go do prywatnego apartamentu Beebe. Tam właśnie przyjmowała osobistych przyjaciół. Dżentelmeni, zainteresowani jedynie tym, co oferowano w pozostałych częściach zakładu, nie mieli do niego wstępu.

Gdy markiz wszedł, Beebe, kobieta niezwykle atrakcyjna, wydała okrzyk radości i wyciągając doń ręce rzekła:

- Mon cheti\* Tak się cieszę, że cię widzę!

\* **Mon cheti (franc.) - Mój drogi!**

Beebe władała wieloma językami, lecz choć jej angielszczyzna była bez zarzutu, swobodniej się wysławiała po francusku. Markiz, aczkolwiek dwujęzyczny, odpowiedział jej po angielsku:

- Jestem pewien, że mnie oczekiwałaś.

Chciał się dowiedzieć, czy znany jest jej los Calvina Brooka, nie był więc zaskoczony, gdy odparła:

- Czy to prawda, że twój przyjaciel nie żyje?

- A więc słyszałaś o tym! - wykrzyknął.

Beebe skinęła głową i powiedziała:

- Mój bardzo zaufany przyjaciel, który kilkanaście dni temu przybył tu z Czieng-mai, napomknął mi, że pan Brook utonął, lecz nikt nie jest pewien, czy to prawda.

Markiz usadowił się w wygodnym krześle.

- Właśnie dlatego do ciebie przyszedłem.

- Mały ptaszek wyćwierkał mi, że król oczekuje twojego przybycia.

- Czy w tym kraju może się zdarzyć cokolwiek bez twojej wiedzy? - zaśmiał

się gość.

- Szczerze mówiąc, nie! - odparła. - W przeciwnym razie nie byłabym tak użyteczna dla wspaniałych dżentelmenów.

- Podejrzewam, że większość „wspaniałych dżentelmenów”, jak ich nazywasz, ma inne powody do składania ci wizyt - odrzekł cynicznie.

Beebe uczyniła mały wymowny gest w stylu francuskim.

- Oui, oui. Niemniej, aczkolwiek są tu oczekiwani, nie warto o nich wspominać.

Markiz od dawna był przekonany, że Beebe należy do bardzo rozbudowanego aparatu szpiegowskiego w Syjamie. Kraj ten miał wielu wrogów, ale pozostawał niezwyciężony. Oczywiście za cenę wyrzeczeń i ofiar. Król musiał oddać sto dwadzieścia tysięcy kilometrów kwadratowych spornego terytorium przygranicznego, by zapewnić pokój i niezależność środkowej części Syjamu - Menam Cza Phya Basin. Nie było to zbyt wiele.

Wejście służącego z napojami orzeźwiającymi dla markiza przerwało rozmowę. Na tacy, obok francuskiego szampana, znajdował się ulubiony przezeń, wyśmienity koktajl owocowy. Gdy służący zniknął, markiz podjął rozmowę:

- Jak się domyślasz, przyszedłem tutaj, by prosić cię o informacje oraz o pomoc, ponieważ należysz do nielicznych osób, które zdają sobie sprawę, że utrata Calvina Brooka byłaby tragedią.

- Zgadzam się z tobą - rzekła. - I mam coś, co, jak mniemam, usatysfakcjonuje cię.

Podniosła się z niezrównaną gracją, tak charakterystyczną dla Syjamek. Jej smukła postać zdawała się być wtopiona w zawoje sukni. Gdy szła do biurka,

markiz zauważył z podziwem, że - mimo swoich trzydziestu pięciu lat - jest bardzo urodziwa i powabna. To prawda, że wilgoć w syjamskim powietrzu pozwala zachować kobietom czystą i gładką cerę. Beebe miała mały krótki nos, typowo syjamski, i pełne, wyzywające usta. Po ojcu odziedziczyła wielkie ciemne oczy, które iskrzyły się, gdy mówiła. Rozmawiając z mężczyzną nie potrafiła zapomnieć, że jest kobietą, i flirtowała z rozmówcą w szczególny sposób.

Teraz wzięła z biurka jakiś przedmiot i zbliżyła się do siedzącego markiza. Położyła mu ręce na ramionach i spytała:

- Co mi dasz, jeżeli rozwiążę twój problem?

- A co byś chciała? - spytał - Połowę mojej fortuny?

- Nigdy nie byłam szczególnie zainteresowana pieniędzmi - zaśmiała się Beebe - jeżeli już o to chodzi, mon brave \*.

- A zatem znasz odpowiedź na swoje pytanie - odparł.

\* **Mon brave (franc.) - Mój zuch.**

Posłała mu spod długich rzęs zachęcające spojrzenie, po czym już bez dalszych prowokacji podała przedmiot trzymany w dłoni. Wziął go i, ku swemu zaskoczeniu, stwierdził, że to kartka pocztowa. Tani, kolorowy obrazek królewskiej barki, jaki można kupić wszędzie w Syjamie. Przyglądał mu się przez chwilę, potem odwrócił kartkę i zobaczył, że jest zaadresowana do „Lady Beebe” i napisana po angielsku. Przeczytał:

Wypoczywam w Pattaya. Życzyłbym sobie, byś tu była. Powiedz „Ossy'emu”, gdy go zobaczysz, że łapanie ryb idzie mi dobrze.

C.

Markiz nabrał powietrza i spytał:

- Kiedy to dostałaś?
- Jakiś tydzień temu.
- Nie myliłem się myśląc, że możesz mi pomóc!

Mówiąc to przyglądał się widokówce i nie wierzył własnym oczom. Wiedział, że pochodziła od Calvina Brooka, aczkolwiek charakter pisma był rozmyślnie zmieniony i mocno nieporadny. Gdyby w to powątpiewał, wiadomość dla „Ossy'ego” miała go przekonać. Pod tym imieniem znano markiza w domu Beebe.

Powód był prosty. Gdy wraz z Calvinem zjawiał się tu w przeszłości, dziewczęta pytały, jak się nazywa. Były zbyt dyskretne, by oczekiwać od każdego klienta, iż poda pełne imię i nazwisko. Kiedy markiz, wówczas jeszcze bez dziedzicznego tytułu, przedstawił się jako Osmond, uznały, że jest to nie do wymówienia. „Będziemy mówić Ossy” - oświadczyły łamaną angielszczyzną i tak już zostało. Nawet Beebe, ilekroć chciała mu dokuczyć, nazywała go w ten sposób.

- Gdzie jest Pattaya? - spytał głośno.
- To mała rybacka wioska - odparła. - Kawałek drogi na południowy wschód od Bangkoku.

Markiz włożył widokówkę do kieszeni i rzekł:

- Dziękuję ci, Beebe. A gdy znajdę Calvina Brooka, będę ci wdzięczny nieskończenie.
- Podobnie jak król - dodała spokojnie. Usiadła blisko niego, ujęła jego dłoń i powiedziała:
- Skoro jesteś tutaj, chcę, byś zobaczył ulepszenia, jakie porobiłam od czasu twojej ostatniej wizyty. A także abyś porozmawiał z nowymi dziewczętami,

które zaangażowałam. - Przerwała, uśmiechnęła się do niego i dodała: - Mówi się, że są najpiękniejsze i najzręczniejsze w całym kraju.

- Jakże mogłoby być inaczej?! - odrzekł. - Ale najpierw opowiedz mi o sobie.

Wiedział, że odejście teraz, gdy uzyskał to, czego pragnął, byłoby przejawem brutalności i nieuprzejmości. Wypadało, by okazał, jak bardzo ją ceni zarówno jako przyjaciela, jak też jako kobietę. W gruncie rzeczy bawiły go ulepszenia w miejscu, które teraz należało nazwać Pałacem Tysiąca Rozkoszy.

Były tam baseny z ciepłą wodą, w których mężczyzna mógł pozbyć się napięć z całego dnia, przy pomocy dziewcząt pięknych jak syreny. W pomieszczeniach do masażu czekały nań małe Syjamki, by swymi delikatnymi, wrażliwymi palcami rozmasować wszystkie mięśnie jego ciała. Stawały na plecach klienta, masując mu kręgosłup palcami stóp.

W większych pomieszczeniach czekały na klientów egzotyczne i prowokujące tancerki. Były niekompletnie ubrane w prześliczne, zdobne tradycyjnym haftem, typowo syjamskie stroje.

Te oraz tuzin innych możliwości zabawienia się pokazała Beebe markizowi. Potem, unosząc brwi niczym skrzydła, spytała go, czy zechciałby skorzystać z usług którejs z nich. Gość odparł:

- Wolałbym raczej porozmawiać jeszcze z tobą. Wiesz przecież, że naprawdę interesuje mnie to, co robisz.

Wzięła go więc z powrotem do saloniku. Gdy sącył przepyszny szampan, Beebe opowiadała mu, niczym mąż stanu, o Syjamie, królu i o nowych, rewolucyjnych reformach, które Czulalongkorn przeprowadził. Następnie uraczyła go opowieścią o powrocie królewskich synów z europejskich szkół. Pomogli mu zmodernizować armię i marynarkę, a jeden z nich został pierwszym

syjamskim ministrem sprawiedliwości.

Wreszcie Vale dowiedział się, że pierwszy szpital, Sirirę, otwarto po latach walki z przeciwnościami.

- To rzeczywiście nowość! - wykrzyknął.

- Prosty lud - roześmiała się Beebe - nadal przekłada leki ziołowe nad medykamenty farang. Poza tym brakuje wykwalifikowanych lekarzy.

- To z pewnością utrudnia sprawę! - skonstatował markiz.

- Nic nie zniechęca króla - ciągnęła Beebe. - Kiedy wrócił ze swych europejskich wojaży, podczas których spotkał ciebie, co natchnęło go nowymi pomysłami, zbudował Dlisit Pałace na terenie owocowego sadu.

- I co tam się dzieje? - spytał gość.

- Jego wysokość urządza prywatne przyjęcia, bale kostiumowe, a często przygotowuje sobie posiłki.

Markiz odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się.

- To doprawdy bardzo dziwne. Myślę, że można to uznać za najbardziej karygodny wyczyn syjamskiego króla. Jego przodkowie zapewne są zatrwożeni.

- Niektórzy ludzie są nieco zszokowani - przyznała Beebe. - Lecz w kraju panuje dobrobyt, nawet rolnicy mają się lepiej niż kiedykolwiek, nie sposób więc krytykować monarchy.

- On niewątpliwie wyprzedza swój czas - stwierdził markiz. - Odkąd sprawuje władzę absolutną, wszystkie reformy są możliwe, o ile tylko Syjam pozostanie w stanie pokoju.

- Wierzę, że tak będzie - odpowiedziała Beebe.

- I właśnie dlatego pracuję dla króla oraz dla kraju, ponieważ pokój jest ważny dla całego świata.

Mówiła z powagą, która - w co markiz nie wątpił - zdumiałaaby większość jego gości, nawet najdostojniejszych. Podejrzewał, podobnie jak Calvin Brook, że była nie tylko ogromnie użyteczna królowi w sprawach politycznych, lecz także w osobistych.

Gdyby rola, jaką odgrywała, stała się wszystkim wiadoma, potępiono by ją z całą bezwzględnością. Król rozciągnął ścisły nadzór nad tymi, którzy w przeszłości szkodzili Syjamowi i obecnie również usiłowali to robić. Nie ustawał w usuwaniu błędów i ograniczeń przeszłości. Zamierzał utworzyć nowoczesną policję, konieczną, jeżeli Syjam ma trwać.

Budowa pierwszej linii kolejowej i pierwszych telegrafów rozpoczęła się kilkanaście lat temu. Obecnie ich przydatność została zaakceptowana i ludzie już im się nie dziwili. Lecz było jeszcze tyle do zrobienia.

Agenci pokroju Beebe byli niezbędni, gdy chodziło o utrzymanie spokoju na obszarach przygranicznych państwa. Dzięki ich sprytowi żaden spisek ani żadna zmowa przeciw królowi nie wyszła poza fazę przygotowań.

Rozmowa z Beebe tak bardzo zajęła markiza, że minęła godzina dziewiąta, gdy wreszcie wstał z miejsca i rzekł:

- Muszę wracać.

- Nie zatrzymałeś się w pałacu?

- Wiedząc, że wybiorę się do ciebie, odrzuciłem najuprzejmiejsze zaproszenie jego wysokości.

- W takim razie dlaczego musisz już wracać, skoro jesteś wolny?

Beebe również podniosła się ze swojego miejsca. Była bardzo mała, jej głowa ledwo dosięgała ramienia mężczyzny. Wyglądała niezwykle ponętnie i egzotycznie, kiedy, stojąc bardzo blisko, lecz nie dotykając go, przypatrywała

mu się z uwagą.

- Chciałbym zostać - odparł spokojnie. - Ale na statku, jak zapewne wiesz, czeka na mnie młodziutka córka Calvina Brooka.

W oczach Beebe pojawił się wyraz rozczarowania. Gdy markiz pochylił się, by ucałować jej dłoń, wargi kobiety musnęły jego policzek.

- Jesteś, mon cher, najbardziej atrakcyjnym, najprzystojniejszym i najbardziej fascynującym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam! - wyszeptała czule.

Pachniała wschodnimi perfumami, które przypominały markizowi minione lata. Zawahał się, nic nie mówiąc, a wtedy Beebe rzekła:

- Wiem, że prawdziwą przyczyną, dla której odchodzisz, jest pragnienie, by tak szybko, jak tylko się da, ruszyć do Pattaya. Obowiązek jest dla ciebie na pierwszym miejscu.

Słowa te, jak i ton jej głosu poruszyły go, tak że znowu ucałował jej dłoń, zanim odparł:

- To prawda, Beebe. Ale jeszcze się spotkamy. Jeśli wbrew nadziei, którą we mnie ożywiłaś, nie znajdę Calvina, wrócę do ciebie.

Raz jeszcze ucałował jej policzek i poczuł miękkość jej warg na skórze. Potem Beebe powiedziała tonem, który zdradzał charakterystyczną dla niej szybką zmianę nastroju:

- Uważaj na siebie! Dziewczęta na południu są nader powabne. Będę niepokieszona, jeżeli uda im się to, co mnie się nie udało.

- Cokolwiek usłyszysz na ten temat, będzie absolutną nieprawdą.

W oczach markiza zamigotały iskierki, a Beebe wybuchnęła śmiechem:

- Czy to, co dotyczy ciebie i pięknej kobiety, może być nieprawdą? Jeżeli kobieca atrakcyjność córki Calvina równa się męskiej atrakcyjności jej ojca!...

- Ależ to w ogóle nie wchodzi w rachubę! - bronił się markiz. - Ona jest tak bardzo młoda, a kobiety z wiekiem zyskują powab.

- Doceniam komplement - odparła. Pozwoliła mu wyjść przez boczne drzwi, tak by nie był widziany. Zdażył jednak spozrzeć mężczyzn spieszących do różnych pomieszczeń po owe tysiączne uciechy, które im Beebe przygotowała.

Wsiadł do powozu czekającego nań przed wyjściem. Jadąc stwierdził, że miał wyjątkowe szczęście. Calvin, nie mniej inteligentny niż Ankana, wiedział, że jeżeli przyjaciel przyjedzie do Bangkoku, bez wątpienia odwiedzi Beebe.

Było po wpół do dziesiątej, gdy wszedł na pomost jachtu. Natknął się na Dobsona. Z lekkim wyrzutem sługa ponaglił go do zejścia na dół, gdzie przygotował już był swemu panu nocne ubranie oraz kąpiel. Markiz odczekał, aż zamkną się drzwi, po czym rzekł:

- Odszukaj kapitana, Dobsonie, i powiedz mu, by w ciągu godziny ruszył wolno i możliwie najdyskretniej w dół rzeki. - Spojrzał ponad nim i dodał: - Nie chcę, by wyglądało, że jacht odjeżdża w pośpiechu lub że mamy jakieś inne zamiary niż znalezienie nowej przystani.

- Zrozumiałem, milordzie.

- Powiedz to kapitanowi na osobności i nie pozwól, by ktokolwiek cię usłyszał - rozkazał Vale.

Gdy Dobson wbiegł do kabiny, markiz zaczął zdejmować ubranie. Pomyślał sobie, że po upalnym i wilgotnym dniu zimna kąpiel będzie znacznie przyjemniejsza niż wszystkie rozkosze oferowane przez Beebe. Wiedział, że nie wolno mu się spieszyć, gdyż nawet steward powinien być przekonany, że nie ma żadnego powodu do pośpiechu.

Później, gdy już sunęli w dół rzeki, nikt nie pytał o przeznaczenie czy cel

podróży.

Kiedy po kąpieli markiz wszedł na pokład i udał się do salonu, Ankana już na niego czekała. Od razu zauważył jej przygnębienie.

- Przepraszam, jeżeli się spóźniłem - rzekł. - Na pewno jesteś głodna. Ale spotkałem paru przyjaciół i gdy zaczęliśmy wspominać dawne lata, trudno było odejść.

Wiedział, że dziewczyna rozumie, iż nie wolno zacząć im rozmowy o ojcu, dopóki dwaj stewardzi są w salonie.

Jeden podawał markizowi drinka, a drugi wniósł właśnie pierwsze danie i postawił je na kredensie. Vale usiadł na swoim miejscu przy końcu stołu.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze - oznajmił konwersacyjnym tonem - co myślisz o pałacu. Jutro muszę pokazać ci Szmaragdowego Buddę, jeden z najwspanialszych cudów świata.

Ankana nie odezwała się, opowiadał więc dalej o znanym jej Szmaragdowym Buddzie, pokrytym kawałkami jadeitu. Był to obiekt narodowej czci i tłumy ludzi przybywały do Królewskiej Kaplicy, by oddać hołd Buddzie oraz jego nauce.

- Jestem pewien, że wiesz, iż Szmaragdowy Budda został po raz pierwszy pokazany publiczności w roku 1464 - powiedział, gdy steward stawiał przed nim talerz pełen świeżych krewetek, a następnie syjamskich ryb o nazwie pomfret, nieosiągalnych w żadnej innej części świata. Przyrządzone w słodko-kwaśnym sosie, były ulubionym przysmakiem Chińczyków.

Po rybach nastąpiło kilka dalszych dań. Dopiero kiedy steward opuścił salon i markiz z Ankaną zostali sami, dziewczyna jednym tchem wyrzuciła z siebie pytanie:

- Dowiedziałeś się czegoś? Muszę to natychmiast wiedzieć!

- Zdaję sobie sprawę - roześmiał się - jak paliła cię ciekawość podczas kolacji.

- Ale jest rzeczą niezmierniej wagi, by nawet ci spośród moich ludzi, którym ufam, nie mieli najmniejszego pojęcia, co odkryłem i dokąd jedziemy.

W oczach Ankany zapaliło się światełko, gdy pytała zniżonym głosem:

- A co... odkryłeś?

Markiz wydobyl z kieszeni widokówkę, którą otrzymał od Beebe, i wręczył ją Ankanie. Czytała ją bardzo wolno, drżąc z podniecenia. Gdy podniosła nań oczy, rzekł:

- Miałaś rację. Jestem oczywiście gotów przeprosić cię za to, że ci nie dowierzałem.

- Papa jest w miejscowości Pattaya - rzekła niskim głosem.

Markiz pomyślał, że tak brzmi śpiew podniebnego ptaka. Nie powiedział nic. Dziewczyna więc spytała: - Czy pojedziemy tam zaraz?

W tej samej chwili rozległ się warkot silnika. Podniesiono kotwicę.

- Właśnie ruszamy - odparł. - Ale zależy mi na tym, by myślano, że szukamy po prostu spokojniejszego miejsca na postój. Aż do rana nikt nie może się dowiedzieć, że opuszczamy Bangkok.

- Myślisz, że te środki ostrożności mają jakiegokolwiek znaczenie - wymamrotała. Wiedział, że Ankana raczej informuje, aniżeli pyta.

- Nie ma potrzeby, żebym ci na to odpowiadał - rzekł. - Jak już sobie powiedzieliśmy, twój ojciec jest w niebezpieczeństwie i jeżeli, jak przypuszczam, znalazł szafiry, będzie potrzebował naszej pomocy.

- Zdawał sobie sprawę, że Ankana słucha go w napięciu, lecz kontynuował: - W Pattaya musimy się zachowywać jak najzwyklejsi turyści, gdyż jest to

dogodne miejsce postoju w dalszej podróży na Wschód. - Urwał na chwilę i dodał: - Sądzę, że Hongkong może być właściwym celem naszej wyprawy.

- Rozumiem! - powiedziała, biorąc głęboki oddech.

Spojrzała raz jeszcze na widokówkę i oddała ją markizowi.

W salonie pojawili się stewardzi, by sprzątać ze stołu, markiz więc, chowając kartkę do kieszeni, rzekł:

- Wyjdźmy na pokład. Rzeka połyskująca refleksami świateł wygląda nocą bajecznie.

Stali przy burcie, patrząc na domy wzniesione na balach. Światła migotały na wodzie, a dziwne rośliny, rosnące w rzece, oplątywały kilwater jachtu. I właśnie wtedy, gdy markiz był przekonany, że jego towarzyszką obserwuje mijane widoki, Ankana rzekła nieoczekiwanie:

- Czy ona... jest bardzo urodziwa?

Przez chwilę nie rozumiał, o co chodzi. Mimo niemałego doświadczenia z kobietami nie mógł pojąć zachowania tej dziewczyny.

- Domyślam się, że mówisz o Beebe - odparł.

- I że jesteś jej tak samo wdzięczna jak i ja. Na twoje pytanie odpowiadam ci „tak”, choć powinienem dodać, że jest raczej fascynująca aniżeli urodziwa.

Mówił bardziej do siebie niż do Ankany. Jednocześnie myślał, jak paradoksalny jest fakt, iż kobieta o tak błyskotliwej inteligencji pracuje w najstarszym zawodzie świata, w którym ciało gra nieporównanie większą rolę aniżeli umysł.

- Ona jest pół-Francuzką - ciągnął - i domyślam się, choć, być może, przesadzam, że jej ojciec był młodym dyplomatą. - Przerwał na chwilę, po czym dodał:

- Zostawił jej matkę bez pieniędzy lub prawie bez pieniędzy i Beebe musiała sama torować sobie drogę w życiu.

- Jeżeli jest taka mądra - zauważyła Ankana - dlaczego żyje w Domu Uciech, jak go nazywasz.

- Obecna nazwa brzmi Dom Tysiąca Radości - wtrącił z nutą rozbawienia w głosie. - Jest to miejsce jedyne w swoim rodzaju w Bangkoku, a Beebe jest typem osoby, która pragnie być ceniona na całym świecie.

- Ze względu na swą atrakcyjność? - spytała.

- Nie, nie tylko dlatego - odrzekł. - Atrakcyjnych i pięknych kobiet jest co niemiara. Beebe ma po prostu bystry umysł i niepospolity talent do pracy wywiadowczej. - Umilkł, a potem rzekł: - Pomocny nie tylko twojemu ojcu, ale także Syjamowi.

Ankana, nic nie mówiąc, przysunęła się do burty i, wsparta o nią, patrzyła niewidzącym - jak go nazywał markiz - wzrokiem na mijaną świątynię, całą w blasku świateł. Sekundę później wyprzedzili mały holownik ciągnący pięć wielkich barek wypełnionych warzywami. Markiz był wciąż pochłonięty informacjami uzyskanymi od Beebe. Dlatego poczuł się zaskoczony, gdy dziewczyna spytała go nieswoim głosem, który zdawał się sączyć z jej warg:

- Dlaczego... byłeś tam tak... długo? Co tam jeszcze... robiłeś... może zostałeś z nią... ponieważ ją lubisz?

Markiz utkwiał wzrok w Ankanie. Gdy zastanawiał się, dlaczego pyta go o to, miast rozmawiać z nim o ojcu i o tym, jak mu pomóc, dziewczyna mówiła dalej z furją:

- Jak możesz tak się poniżać i spędzać tyle czasu z kobietą tego pokroju?! Jak możesz zażywać „tysiąca rozkoszy”, gdy powinieneś myśleć wyłącznie o...

ratowaniu papy?! - Oczy jej błyszczały, kiedy wykrzyknęła: - Miałam rację! Jesteś... okropny i... nienawidzę cię!

Nieomal pluła w niego słowami. Oniemiał ze zdumienia, a ona rzuciła się do drzwi, a potem usłyszał jej kroki zbiegające w dół. Przez chwilę nie mógł pojąć, co ją tak rozjątrzyło. Dlaczego całkiem co innego miała w głowie, chociaż wręczył jej kartkę pisaną przez ojca. Wreszcie, ku swemu zdumieniu, znalazł odpowiedź. Liczne doświadczenia z kobietami nauczyły go, że wymówki i wyrzuty nie są niczym innym jak oznakami zazdrości. Był pewien, że Ankana nie ma pojęcia, co znaczy słowo „miłość”, i jest tak niewinna, jak na to wygląda. Rozumiał jednak, że po trzech tygodniach przebywania z nią sam na sam poczuła się urażona, gdy skupił uwagę na innej kobiecie. Zwłaszcza że był z nią związany - jak sądziła - nieodwołalnym postanowieniem ratowania jej ojca.

Nie, to nie tłumaczyło jej gwałtownego wybuchu. Zaczął się zastanawiać, czy powinien pójść do niej i porozmawiać, czy tego zaniechać. Może wypadało upewnić ją, że nie ma dla niego ważniejszej sprawy aniżeli odnalezienie ojca. A także powiedzieć, że oskarża go niesprawiedliwie twierdząc, iż pozostawał tak długo w Pałacu Tysiąca Uciech dla całkiem innej przyczyny aniżeli wysondowanie Beebe.

Doszedł do wniosku, że skoro jest na niego wściekła, urządzi mu scenę, a tego sobie nie życzył. Byłoby doprawdy absurdem usprawiedliwianie się przed dzieckiem. Gdy tylko znajdą Calvina Brooka, Ankana zniknie z jego życia i skończy się ta zabawa.

Jacht zaczął przyspieszać. Kiedy byli już dosyć daleko od pałacu, markiz przyłapał się na tym, że ciągle rozmyśla nad zachowaniem Ankany: była tak opanowana i spokojna w drodze do Bangkoku i nagle, gdy najmniej się tego

spodziewał, urządziła mu histeryczną scenę. Co prawda mogła być zdenerwowana parogodzinnym oczekiwaniem na wiadomości od Beebe. Niemniej przez całą podróż zachowywała się w sposób godny podziwu. Zachwycała go swą łagodnością i tym bardziej niewiarygodne wydawało się, że teraz, bez widocznej przyczyny, jest w takim stanie. Przyszło mu jednak do głowy to, co już wcześniej powiedział Ankanie, że żadna dama nie ma pojęcia o Domach Uciech ani też o kobietach pokroju Beebe. Jeżeli, na nieszczęście, zdarzało im się słyszeć o takich sprawach, przybierały tony pełne godności. Udawały - bo tak było przyjęte - że nie rozumieją, co to za kobiety i dlaczego mężczyźni się nimi interesują. „W tym tkwi szkopuł - stwierdził markiz - że nie rozumiem młodych dziewcząt ani nie chcę rozumieć. Potem pomyślał o wyrefinowanych kobietach, których względami cieszył się w Londynie. Był przekonany, że gdyby któraś z nich wyruszyła z nim w tę podróż, czułby się już śmiertelnie znudzony. Rozmowy dotyczyłyby jednego jedynego tematu: jej oraz jego. Nie do pomyślenia byłyby oczywiście pojedynki i utarczki słowne, jakie wszczyniała każdego wieczoru Ankana, dowodząc fascynującymi argumentami prawdziwości zjawisk nieznanych. Musiał chcąc nie chcąc przyznać, że w ciągu całej podróży przez Morze Śródziemne, Morze Czerwone, Ocean Indyjski i Zatokę Syjamską nie nudził się ani przez minutę. Co więcej, jego umysł był bardziej żywy i aktywny niż kiedykolwiek. Wydawało się śmieszne, że ktoś tak młody jak Ankana potrafił stymulować jego imaginację. Zmuszała go do myślenia o rzeczach, które nigdy przedtem nie zaprzętały jego głowy. A przecież kobiety, które dotąd spotykał, były na ogół agresywne oraz irytująco nielogiczne. - Myślę, że jest po prostu przemęczona - stwierdził wreszcie. - A przy swej żywej wyobraźni przedstawia sobie Beebe jako ladacnicę.

Pomyślał, że, być może, jej wyobrażenie o Domu Rozkoszy jest takie, jak na groteskowych i przerażających rysunkach Hogartha. Potem zadał sobie pytanie, w jaki sposób można by poznać pracę umysłu młodej dziewczyny. I wtedy wszystko sprowadziło się do jednego: Ankany przy nim nie było. Gdyby miał trochę oleju w głowie, nie powiedziałby jej, dokąd idzie. W gruncie rzeczy rozmawiając z nią i polemizując, traktował ją nie jak kobietę, ale jak mężczyznę. Zrozumiał trochę poniewczasie, że Ankana jest nie tylko wyjątkowo inteligentna, lecz również bardzo młoda i bardzo podatna na zranienie. Świadomość, że był w miejscu, które po angielsku zwie się domem rozpusty, w towarzystwie osoby, którą Biblia nazywa nierządnicą, bez wątpienia dotknęła ją mocniej, niż dotknęłaby przeciętną dziewczynę w jej wieku nie wiedzącą nic o tych sprawach. „To było bardzo głupie z mojej strony, że nie powiedziałem Ankanie, iż wybieram się do klubu dla mężczyzn lub czegoś w tym rodzaju” - skarcił się.

Potem zapragnął wyjaśnić jej, że nie zaszło tam nic, czym mogłaby się czuć wytracona z równowagi. A po chwili jakiś nagły wewnętrzny sprzeciw powstrzymał go przed tym. Dla otrzeźwienia udał się na mostek kapitański. Przy sterze zastał kapitana, a ponadto dwóch marynarzy. Pomachał do nich z budki kapitańskiej i powiedział:

- Teraz, kiedy jesteśmy już dość daleko od pałacu, chcę, byśmy ruszyli pełną parą do Pattaya i przy sprzyjającym szczęściu dotarli tam jutro rano.

Kapitan wskazał mapę, która leżała rozpostarta w kapitańskiej budce. Marta odszuka! na niej wymienioną przez siebie miejscowość, którą jako mało ważną oznaczono ledwie widocznymi literami. Czanthaburi, centrum dystryktu Gem, widniało nieco dalej w stronę wybrzeża. Markiz wszakże uznał, że nie ma

potrzeby płynąć poza Pattayę. Był pewien, że gdy tylko tam się zjawia, Calvin Brook w jakiś sposób sam nawiąże z nimi kontakt. Ta myśl dodawała mu otuchy.

Opuszczając pół godziny później kapitana, Vale postanowił pójść spać. Chciał wstać o świcie, by zobaczyć, jak „Koń Morski” dobija do Pattaya. Pomyślał, że nie tracił czasu. „Z Londynu do Bangkoku przybyłem w rekordowym tempie, a teraz, w dniu przybycia, mam już trop prowadzący wprost do Calvina Brooka. - Uśmiechnął się z zadowoleniem. - Nikt nie uporałby się z tym tak szybko jak ja.”

Zanim zszedł pod pokład, zauważył, że kapitan bezbłędnie zrozumiał jego polecenie, by płynęli niepostrzeżenie. Wszystkie światła w salonie były przytłumione. Jacht zaś, dopóki był w zasięgu światła nawigacyjnych, sunął w dół rzeki w sposób możliwie najmniej ostentacyjny. „Tylko tak dalej!” - myślał markiz, podążając do swojej kajuty.

Gdy mijał drzwi kabiny sąsiadującej ze swoją usłyszał zza nich dziwny dźwięk. Przystanął, by posłuchać, i ku swemu zaskoczeniu rozpoznał płacz. Zawahał się, a potem pod wpływem nieodpartego impulsu zapukał do drzwi Ankany.

Płacz natychmiast ustał, lecz nie dał się słyszeć żaden inny dźwięk. Markiz wszedł do środka.

Przy łóżku paliło się tylko jedno małe, przyciemnione światełko. Zasłony opadające z sufitu i okalające poduszki nie pozwalały mu przyjrzeć się dokładnie dziewczynie. Ona jednak odezwała się zdławionym głosem:

- Czego... chcesz?

Markiz zamknął za sobą drzwi. Zbliżył się do łóżka. Ankana nie poruszyła się, a on wiedział, że nie chce, by ujrzał jej łzy. Usiadł na materacu twarzą do

niej i rzekł spokojnym głosem:

- Chcę ci powiedzieć, że płyniemy tak szybko, jak to tylko możliwe, do Pattaya. Myślę, że powinniśmy tam być jutro rano, być może bardzo wcześnie.

Ankana nie odpowiedziała i markiz doznał uczucia, iż nie może wydobyć z siebie głosu. Zapytał więc łagodnie:

- Co cię tak rozstroiło? - Mówiąc to wyciągnął rękę i nakrył nią małą dłoń leżącą na lnianym prześcieradle. - Byłaś dotąd tak dzielna i opanowana - ciągnął. - Jestem pewien, że twój ojciec nie życzyłby sobie, byś załamała się w ostatniej chwili.

Poczuł, że jej dłoń zeszywniała pod jego palcami, ale nie cofnął ręki. Po chwili Ankana odezwała się doń słabym, dziecięcym głosikiem:

- Przepraszam, że byłam... tak okrutna.

- Ależ to zrozumiałe - odparł. - Zbyt długo musiałaś czekać na mój powrót. - Umilkł i uśmiechnął się do niej, a potem dodał: - Domyślam się, jaką udręką była dla ciebie niepewność, co dzieje się z twoim ojcem, czy też będziemy musieli szukać go na oślep, bez żadnej pomocy.

Jak gdyby łagodność jego słów uśmierzyła jej rozpacz, Ankana odwróciła dłoń i zacisnęła palce na jego ręce.

- Jestem teraz absolutnie pewna, że znajdziemy papę.

- Myślę, że bogowie są po naszej stronie - odparł.

- Naprawdę jestem o tym przekonany. Po twoim odejściu doszedłem do wniosku, że musieli nam sprzyjać, skoro tak szybko dotarliśmy do Bangkoku. - Urwał, a po chwili mówił dalej: - Potem wpadła nam w ręce kartka pocztowa. Twój ojciec przewidział, że spytam o nią we właściwym miejscu.

- Jakże byłam głupia - skonstatowała Ankana posepnie.

- Jak już powiedziałem, twoje zachowanie było całkiem zrozumiałe - odparł. - Jeżeli nadal dręczą cię złe myśli, pozwól mi powiedzieć, że nie kosztowałam żadnych „rozkoszy”, oferowanych przez takie domy. - Uśmiechnął się do niej, zanim dodał: - Odbyłem jedynie poważną rozmowę z właścicielką.

Chociaż nic nie mówiła, czuł, że słowa te sprawiły Ankanie radość. I że jej umysł wrócił do równowagi. Rzekł więc:

- A teraz śpij. Pragnę, by twój ojciec, gdy go już znajdziemy, ujrzał ładną i szczęśliwą, a nie zboląłą młodą kobietę z podkrążonymi oczami i czerwonym nosem.

- Mój nos nie jest czerwony - zaprotestowała, a markiz wybuchnął śmiechem.

- No dobrze, masz śliczny, uroczy mały nosek! A ja jestem zmęczony i chcę spać. Nie życzę sobie, by mnie niepokoiły dziwne odgłosy dochodzące z twojej kabiny.

- Ja... przepraszam, że byłam taka... głupia - wybąkała.

- Jesteś nieobliczalna - stwierdził markiz. - Czy kobieta może być inna?!

Dobranoc, Ankano.

Pochylił się ku niej z zamiarem ucałowania jej policzka. Uniosła twarz i wtedy, najzupełniej przypadkowo, markiz zamiast policzka dotknął ustami jej warg. Przez chwilę rozkoszował się ich miękkością i niewinnością. Potem, wiedząc, że postępuje niewłaściwie, podniósł się pośpiesznie i rzekł:

- Śpij dobrze. Możliwe, że jutrzejszego wieczoru twój ojciec będzie już z nami.

Podszedł do drzwi, otworzył je i wyszedł nie oglądając się za siebie. Długo czuł na wargach dotyk ust Ankany. W jakiś niezwykły sposób różnił się ten pocałunek od wszystkich, jakich zaznał w ciągu całego życia.

## Rozdział szósty

Ankana obudziła się bardzo wczesnie, mimo że długo po odejściu markiza nie mogła zasnąć. Rozmyślała o jego pocałunku i czuła dotyk męskich warg na ustach. Chociaż nigdy przedtem nikt jej nie całował, wiedziała już, że kocha. Czuła się wzburzona do głębi swej istoty, niczym rozkołysane morze. Była pewna, że jeśli nawet ten pocałunek się nigdy nie powtórzy, zawsze będzie pamiętała uczucia, które w niej wzbudził. Był to zachwyt, jakiego nie umiałaby sobie nawet wyobrazić. Było to coś, za czym zawsze tęskniła, lecz bez wiary w możliwość spełnienia. Zwłaszcza z takim mężczyzną jak markiz.

„Jak mogłam go tak nienawidzić?” - dziwiła się sobie samej. Intrygował ją i fascynował od chwili, w której przestał się na nią gniewać za wtargnięcie w jego życie. Traktował ją jak gościa i jak kogoś, z kim można prowadzić ciekawe rozmowy. Nie spodziewała się, że poza ojcem spotka mężczyznę, i to tak ekscytującego, który będzie z nią rozmawiał jak z równą sobie. Nienawidziła go oczywiście za tryb życia, jaki prowadził w Londynie. Pogardę budziła w niej myśl, że marnotrawi swoją inteligencję i swoje zdolności w londyńskim wielkim świecie. A tymczasem okazał się mężczyzną, o jakim marzyła: silnym, stanowczym, pełnym godności, a zarazem delikatnym, rozumiejącym i, co więcej, czarującym.

Była przekonana, że pocałunek, który ich złączył na krótką chwilę, nie miał dlań żadnego znaczenia. Przed nią zaś otworzył świat nieznanych jej cudownych wrażeń. Po raz pierwszy pomyślała o sobie jako o kobiecie przestającej sam na sam z przystojnym i niezwykłym mężczyzną. „Jak mogłam nie zauważyć tego wcześniej?” - zadała sobie pytanie. Pomyślała z rozpaczą, że ich podróż prawie

dobiegła końca. Gdy tylko znajdą papę, markiz bez wątpienia powróci do Anglii. Tu trzyma go obowiązek wobec przyjaciela, a tam realne życie. Była dostatecznie inteligentna, by rozumieć, że uczestniczył w przygodach jej ojca, dopóki nie stał się dziedzicem rodowego tytułu, a teraz nie wypadało mu odmówić pomocy królowi Syjamu.

Wszystko to jednak należało do przeszłości. Wkrótce markiz uwolni Calvina i rozplynie się jak nadmorska mgła. Wątpliwe jest, czy go kiedykolwiek jeszcze zobaczy.

„Kocham go!” - wyszeptała.

Nie mogąc zasnąć, wstała z łóżka i rozsunięty zasłanki wyjrzała przez iluminator. Płynęli do zatoki Pattaya tak szybko, że prawie nieodczuwalnie. Wreszcie mogła przyjrzeć się łachom wspaniałego białego piasku, podmywanego z chlupotem przez morskie fale, drzewom palmowym i kwitnącym jaskrawo krzewom. Był to widok tak urzekający, że Ankana wpatrywała się weń oczarowana i miała uczucie, że wstąpiła do jakiegoś przedziwnego raj. Zaczęła się pośpiesznie ubierać, zdecydowana przyjrzeć się lepiej temu miejscu, które wydawało jej się zbyt piękne, by być niebezpieczne.

Markiz również leżał długo bezsennie. Nie wstał, jak zamierzał, by zobaczyć wpływanie „Konia Morskiego” do zatoki Pattaya. Patrzył przez iluminator, lecz w przeciwną niż Ankana stronę.

Widział małą tropikalną wysepkę otoczoną przez ciemnoniebieskie rafy koralowe i morze połyskujące w blasku wschodzącego słońca. Także i on uznał ten widok za piękny, ale że było jeszcze bardzo wcześnie, wrócił do łóżka. Myślał o CaWinie Brooku i zastanawiał się, czy teraz, kiedy są tak blisko niego, Ankana potrafi nawiązać z nim myślowy kontakt. Zapewniła go przecież, że to

jest możliwe, wbrew logice jego racjonalnego i wątpliwego umysłu.

Dobson zjawił się w jego kabinie o zwykłej porze. Włożywszy eleganckie białe spodnie i niebieską, jachtową marynarkę ze złotymi guzami, markiz udał się do salonu, by zjeść śniadanie. Gdy steward w pośpiechu postawił przed nim filiżankę kawy, spytał:

- Dlaczego stół jest nakryty tylko dla mnie? Czy panna Ankana chce zjeść śniadanie w swojej kajucie?

- Panna Ankana udała się na ląd.

- Na ląd?

Pytanie było okrzykiem zdziwienia i niepokoju jednocześnie.

- Tak, milordzie. Jakiś czas temu poprosiła o podwiezienie jej łodzią do brzegu.

Markiz porywczo wypił kilka łyków kawy i wstał od stołu. Steward, odgadując jego zamiary, pośpiesznie wręczył mu czapkę. Wkładając ją na głowę Vale sięgnął po rewolwer ukryty w specjalnym miejscu za sofą. Naładował go i włożył do kieszeni.

Dwaj marynarze dowieźli go do brzegu i po chwili markiz stał na białym piasku. Wspiął się na niskie skały i bez trudu ogarnął wzrokiem horyzont. Po prawej stronie miał urwiska, tworzące południowy brzeg zatoki. Z mapy dowiedział się, że od tego miejsca brzeg wygina się półkole ku Chanthaburi i ku kopalniom kamieni szlachetnych. Markiz pomyślał, że być może król miał rację, gdy sugerował, że złodzieje, kimkolwiek byli, pochodzili z tej części kraju. Jednakże nie wiedział nic pewnego, poza tym, że źle się stało, iż Ankana pojechała na brzeg bez niego. Domyślił się, że uległa czarowi tego nieskazitelnego widoku, który ujrzała przez iluminator. Przede wszystkim jednak

śpieszyła z pomocą ojcu.

Na drugim końcu zatoki znajdowało się kilka zakotwiczonych małych łodzi rybackich oraz parę rozrzuconych po brzegu domków. Wszystko to tchnęło niezmaconym spokojem, a jednak markiza nurtował niepokój. Wspiąwszy się wyżej, ogarnął wzrokiem horyzont. Ziemia po jego prawej stronie wypiętrzała się ostro w niewysokie wzgórza porośnięte drzewami. Gdy przyjrzał im się bliżej, pomiędzy wierzchołkami drzew dostrzegł wieżyczki świątyni buddyjskiej. To było to, czego mógł się spodziewać i co w zwykłej sytuacji by zlekceważył. Teraz jednak, patrząc na lśniące w blasku słońca pinakle, doświadczył przedziwnego uczucia, iż coś ciągnie go do nich w niewytłumaczalny sposób.

Wahał się przez chwilę. Było mało prawdopodobne, że Ankana, w zamiarze przeszukania Pattaya, udała się wprost do świątyni. Ale jego wzrok znów powędrował ku sylwetce wieżyczki rysującej się na tle błękitnego nieba i stopy bezwiednie ruszyły w tamtym kierunku. Szedł nierówną ścieżką wijącą się po zboczach wzgórza. Rozmiłowany w sportach markiz znajdował przyjemność w tej wędrówce. Było mu to bardzo potrzebne po długich dniach trwania w bezruchu podczas podróży. Wprawdzie chodził możliwie najwięcej po pokładzie i gimnastykował się w kajucie. Ale cóż to znaczyło wobec wędrówki po twardym gruncie pod nogami, z powiewem świeżego morskiego wiatru na twarzy. Było ciepło, lecz nie za gorąco. Ptaki śpiewały na drzewach, niektóre niebywale pięknie. Woń kwitnących drzew i sosen pomieszana z zapachem soli w powietrzu była niezwykle orzeźwiająca. Radował się każdą chwilą, w której potrafił odegnąć niepokój o Ankanę. Nie mógł uwierzyć, że była tak nierozważna, by na własną rękę pójść szukać ojca.

Dochodził do szczytu wzgórza, gdy zakręt ścieżki otworzył przed nim widok

na świątynię. Była mała i stara, zapewne służyła wyłącznie miejscowym robotnikom oraz rybakom. Nie budziła zainteresowania nielicznych turystów, którzy przypadkiem zapuścili się do miejsciny tak odległej od Bangkoku jak Pattaya. Dowodziła tego wąskość ścieżki, dopiero teraz przechodzącej w ubity trakt. Dach świątyni, otwarty na dwie strony, aż się prosił o naprawę i odmalowanie. Nie było tam żywego ducha. Markiz przystanął.

Już zamierzał zawrócić, gdy z wnętrza budowli dobiegł doń odgłos jakiejś szamotaniny. Instynktownie ruszył w tamtą stronę.

.Ankana, podobnie jak markiz, zauważyła świątynię wspinawszy się na szczyt pierwszego wzniesienia na plaży. Od chwili opuszczenia jachtu słała swe myśli ku ojcu. Patrzyła teraz na drzewa palmowe kołyszące się na leciutkim wietrze i na ostre trawy pomieszane z krzewami. Wzgórze wyrosło przed nią niespodziewanie, strome od podnóża do wierzchołka. Spojrzała na wieżyczkę świątyni i poczuła, że musi pomodlić się o pomoc. Dawno temu ojciec nauczył ją, że modlitwa łączy człowieka z bóstwem. Nie jest ważne, gdzie się modlisz, jakiej jesteś wiary i jakiego wyznajesz boga. Zapamiętała sobie nauki ojca i modliła się w meczetach i katedrach, w świątyniach i kaplicach, wszędzie, gdziekolwiek się znaleźli. Stwierdziła też, że jeśli może połączyć się myślami z ojcem, to i kontakt z bogami nie jest niemożliwy. Stosowała się do tego zwłaszcza w potrzebie.

Teraz kiedy pięła się najpierw stromą ścieżką, potem traktem do świątyni, całą swą istotą skupiła się na poszukiwaniu ojca. Zarazem modliła się o pomoc i o to, by nie zagroziło mu żadne niebezpieczeństwo.

Dotarła do świątyni i zobaczyła, jak bardzo jest zaniedbana i zniszczona. Tylko sześć stopni dzieliło ją od wnętrza. U ich podnóża stał stolik z maleńkimi

złotymi blaszkami na sprzedaż. Owinięte w kawałki białego papieru z wytłoczonymi na nich modlitwami błagalnymi, były przywiązane do dwóch kadzidełek.

Ze względu na wczesną porę przy stoliku nie było nikogo. Ankana znalazła w kieszeni sukni drobną monetę. Wziąwszy kadzidełka z wazy, w której były umieszczone, ruszyła do świątyni popękanymi schodami.

Toporny posąg Buddy ze skrzyżowanymi nogami, umieszczony na postumencie, był bardzo stary. I całkowicie pokryty złotymi listkami. Błyszczały w blasku słońca, przedostającego się przez sklepienie, na palcach wielkiej stopy.

Z początku Ankana myślała, że jest sama. Potem w rogu świątyni spostrzegła mnicha w pomarańczowej szacie, stosownej do jego powołania. Klęczał i modląc się chylił głowę tak nisko, że widziała tylko jej czubek. Rzuciła mu krótkie spojrzenie, a potem ostrożnie przyłożyła złotą blaszkę do stopy Buddy. Niełatwo było znaleźć tam wolne miejsce. Zapaliła kadzidełko i wetknęła je w tackę z piaskiem umieszczoną przed posągiem. Nie opodał płonęła wieczna lampka. Potem z dłońmi złożonymi w geście modlitwy stanęła obok i wpatrzyła się w oblicze Buddy.

Modliła się żarliwie za ojca. Oczy miała zamknięte i nie zauważyła, że przeciwległym wejściem do świątyni weszło dwóch mężczyzn. Usłyszała ruch, lecz nie zareagowała. Nagle dobiegł do jej uszu męski krzyk. Otworzywszy oczy spostrzegła ku swemu zaskoczeniu, że mały człowieczek słańia się na nogach. Otrzymał cios od modlącego się mnicha. Drugi mężczyzna odwrócił się ku napastnikowi i rozpoczęła się między nimi gwałtowna walka na pięści. Ku swemu absolutnemu zaskoczeniu Ankana stwierdziła, że zawzięcie walczący zakonnik to jej ojciec. Mężczyzna, którego zaatakował, był niższy od niego i

zarazem młodszy, a przy tym najwyraźniej nawykły do używania pięści.

Przerażona dziewczyna spostrzegła, że człowiek, któremu ojciec wymierzył pierwszy cios, dobywa z fałdów ubrania nóż i zbliża się do przeciwnika z zamiarem ugodzenia go w plecy. W ułamku sekundy chwyciła tackę z piaskiem, w którym tkwiły kadzidełka, i z całej siły cisnęła nią w mężczyznę.

Trafiła. Gdy cios zwałił go z nóg, a piasek zasypał mu oczy, Ankana rzuciła się do przodu. Usiłowała wyciągnąć z jego ręki nóż. On wszakże, odzyskawszy panowanie nad sobą, zacisnął jej drugą rękę na gardle i uwięził. Krzyknęła z przestraszenia i z bólu.

W tej samej chwili markiz wbiegł do świątyni. Zobaczywszy, co się dzieje, wyrwał z kieszeni rewolwer i strzelił do człowieka walczącego z Calvinem Brookiem. Trafił go w nogę. Na dźwięk wystrzału drugi mężczyzna, wciąż na wpół oślepiony piaskiem, ale trzymający Ankanę, podniósł nóż. Markiz, z wprawą doświadczonego strzelca, postrzelił go w ramię. Napastnik krzyknął, wypuścił nóż i uwolnił dziewczynę.

Gdy padał na podłogę, trzymając się kurczowo za krwawiącą rękę, Ankana podbiegła do ojca. Zarzuciła mu rękę na szyję.

- Och, papo! Czy to naprawdę ty?

Calvin Brook, przytulając córkę, spojrzał na markiza. - Dziękuję, Osmondzie!  
- rzekł. - Mogłem się spodziewać, że przybędziesz w samą porę.

- Jestem rad, że cię znaleźliśmy, Calvinie - odparł spokojnie markiz. - Co zrobimy z tą padliną?

Mówiąc to patrzył wzgardliwie na dwóch mężczyzn, którzy, krwawiąc, leżeli na podłodze.

- Zostawmy ich - rzucił ostro Calvin Brook - i uciekajmy stąd jak najprędzej.

Popchnął lekko Ankanę i, ku jej zdumieniu, ruszył ku stopom Buddy. Pomyślała, że tu właśnie stał mężczyzna, którego ojciec zaatakował. Zauważyła, że patrzył na pięć palców pokrytych złotymi blaszkami. Potem szybko wyjął z nich kamienie, które - jak się domyślił - były poszukiwanymi szafirami. Zniknęły pod jego habitem i dopiero wtedy Calvin skinął na Ankanę i Osmonda.

Poprowadził ich do wyjścia po przeciwnej stronie świątyni, tego, przez które weszli dwaj mężczyźni. I tutaj było sześć stopni, jak po tamtej stronie.

Ruszyli ku ścieżce wijącej się pomiędzy drzewami i tak wąskiej, że mogli iść jedynie gęsiego. Po krótkiej wędrówce w dół wzgórza stromeego jak drabina znaleźli się nad urwiskiem stanowiącym zakończenie zatoki.

Wciąż idąc przodem Calvin Brook nie odzywał się, Ankana więc i markiz postępowali za nim w milczeniu. Szedł bardzo szybko. Gdy osiągnęli płaski brzeg, zaczęli biec w kierunku plaży, przy której stał na kotwicy „Koń Morski”.

Łódź z dwuosobową załogą czekała na nich na piasku. Gdy tylko się pojawili, marynarze zaczęli ją spychać do wody. Zostawili na brzegu jedynie rufę, by trzech pasażerowie mogli wejść do środka nie mocząc nóg. Potem chwycili za wiosła i popłynęli spieszenie w stronę jachtu.

Kiedy Calvin Brook obejrzał się, by rzucić okiem na wieżę świątyni, widoczną przez gałęzie drzew, Ankana rzekła czule:

- Wiedziałam, że żyjesz.
- Miałem nadzieję, że wiesz - odparł po prostu.

Dobili do jachtu i wspięli się na pokład, nic już więcej nie mówiąc. Dopiero gdy znaleźli się sami w saioave, odesławszy stewardów do kuchni po śniadanie, markiz powiedział:

- Muszę się przyznać, Calvinie, że z trudem cię rozpoznałem.

- Właśnie o to chodziło - odparł Brook - by nikt nie mógł mnie rozpoznać.

- A ja naprawdę wzięłam cię za mnicha, gdy weszłam do świątyni - dodała Ankana.

- Spałem, gdy to się stało - rzekł z uśmiechem Calvin. - Ocknąłem się, gdy te dwa draby, ku memu przerażeniu, były już w środku.

- Ankana postąpiła nierozważnie wyruszając beze mnie - wtrącił markiz. - Gdy mi o tym powiedziano, zadrżałem z trwogi o jej życie.

Dziewczyna zerknęła nań przelotnie, lękając się jego gniewu. Potem rzekła ze słodyczą w głosie:

- Ja... przepraszam. Chciałam tylko popatrzeć na zatokę, ponieważ wyglądała tak urzekająco... A potem pomyślałam, że pomodłę się w intencji papy.

- Twoje modlitwy zostały na szczęście wysłuchane - stwierdził Brook. - Ja również modliłem się, by Osmond otrzymał moją pocztówkę i zaczął mnie szukać.

- Mądrze zrobiłeś, że wysłałeś ją do Beebe - wtrącił markiz.

- Byłem prawie pewien, że król pośle po ciebie, gdy tylko otrzyma raport o mojej śmierci. - Calvin Brook umilkł, by po chwili dopowiedzieć: - Obawiałem się tylko jednego: iż jesteś nazbyt wielki lub też zbyt zajęty, by wyświadczyć tę uprzejmość jego wysokości. - Oczy mu błyszczały, a w głosie brzmiała nuta rozbawienia.

- Powinieneś znać mnie lepiej - odparł markiz.

- Ale tak czy inaczej, nie miałem zamiaru zabierać ze sobą Ankany. Była pasażerką na gapę aż do Zatoki Biskajskiej. Dopiero wtedy odkryłem jej obecność na jachcie.

- Ankana zawsze chodziła własnymi drogami - roześmiał się Brook - i

spodziewam się, że już to zauważyłeś.

Dziewczyna spojrzała na markiza z lekkim niepokojem. Zastanawiała się, co odpowie, ale akurat do salonu wkroczyli stewardzi. Podali śniadanie i na razie nie było możliwości kontynuowania rozmowy.

Calvin Brook pochłaniał ogromne ilości jedzenia, tłumacząc, że od wielu dni jadł bardzo niewiele, a od dwudziestu czterech godzin zupełnie nic.

Potem zażądał kąpieli. Pożyczył od markiza ubranie, by przebrać się przed rozpoczęciem opowieści, której tak bardzo byli ciekawi. Markiz tymczasem wydał rozkaz, by „Koń Morski” czym prędzej płynął z powrotem do Bangkoku. Wtedy Ankana rzekła doń z nieoczekiwaną pokorą:

- Gniewasz się na mnie?

- Byłem nie tylko rozgniewany na ciebie, ale w najwyższym stopniu zaniepokojony, czy nie znalazłaś się w niebezpieczeństwie, czy nie grozi ci śmierć, co przecież mogło się zdarzyć.

- Podejrzewam, że tak naprawdę to byłeś rad z pozbycia się zawady, jaką dla ciebie byłam - rzekła lekko Ankana.

- Na to odpowiem kiedy indziej - odparł. - Wiem, że teraz pragniesz jedynie, podobnie jak ja, wysłuchać od początku do końca opowieści o wyczynie swego ojca. - Umilkł, a po chwili dodał: - Jestem pewien, że chcesz się dowiedzieć, dlaczego musiał tak łudząco upodobnić się do buddyjskiego mnicha.

Ankana parsknęła śmiechem i rzekła:

- Pożyczyłeś mi swoje ubranie, lecz przypuszczam, że nie masz na pokładzie tak pożytecznej rzeczy jak peruka? Będzie wyglądał dziwnie, dopóki nie odrosną mi włosy.

- To może zabrać trochę czasu, jak sądzę - powiedział markiz. - Dopóki

jednak nie weźmie on na siebie, w co nie wątpię, licznych społecznych obowiązków, nie będzie mu to, jak mi nie mam, nazbyt przeszkadzało.

Wyszli na pokład, by popatrzeć na brzeg morski, wzdłuż którego płynęli z powrotem do Bangkoku. Jak się okazało, nie mogli myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, co ma im do powiedzenia Calvin Brook.

Przyłączył się do nich niebawem, ubrany, podobnie jak markiz, w jachtowe ubranie, nieco dla niego za obszerne. Teraz już tylko ogolona głowa różniła go od angielskiego dżentelmena.

Usiedli w cieniu markizy w odosobnionej części pokładu i Vale powiedział:

- Nie zamierzamy zasypywać cię pytaniami. Zaczynij od początku i opowiedz nam o wszystkim, co się wydarzyło.

- Spodziewam się, że król wyjawiał ci - rozpoczął opowieść Brook - iż tak się złożyło, że przebywałem akurat w Bangkoku, odpoczywając po powrocie z bardzo surowej i niebezpiecznej części Kambodży, ale to zupełnie inna historia...

- Umilkł, a po chwili kontynuował: - Gdy jego wysokość opowiedział mi o zaginięciu szafirów, zrozumiałem, że odnalezienie ich to sprawa niezmiernie wagi.

- Jestem pewien, że król nie przesadził podkreślając ich znaczenie dla ludu w Czieng-mai - zauważył markiz.

- Nie, zaiste nie przesadził. Gdyby uznali, że szafiry zostały skradzione przez Burmańczyków, mogliby się poważnie na przekroczenie granicy. - Calvin Brook umilkł, popatrzył na swoich słuchaczy i podjął: - Taka napaść mogła łatwo przerodzić się w konflikt wojenny i pochłonąć setki ofiar. - Znow umilkł na ułamek chwili. - Byłem prawie pewny - dodał - że złodzieje pochodzili nie z Burmy, lecz z Kambodży.

- Zniżył trochę głos, nim powiedział: - Kambodżanie byli nie tylko chciwi, ale i głęboko urażeni, że nie dostali dystryktu z kopalniami drogich kamieni, podczas gdy ich sąsiadom przypadły w udziale inne części Syjamu.

- Rozumiem - wtrącił spokojnie markiz, a Calvin pociągnął dalej swą opowieść:

- Ze świętymi szafirami w rękach łatwo im będzie rozpocząć wojnę, której nadadzą pozory „świętej”.

- Umilkł i potrząsnął głową. - Rozpęta się wojna partyzancka, w której straci życie wielu niewinnych ludzi - powiedział.

- Ale jak się dowiedziałeś, że szafiry są tutaj? - spytała Ankana, nie mogąc dłużej powstrzymać ciekawości.

- Najpierw muszę opowiedzieć, co się wydarzyło w Czieng-mai - odparł ojciec. - Otóż dzięki pośpiesznej akcji króla i pomocy, jakiej mi udzielił, przybyłem tam trzy dni po kradzieży. - Umilkł i uśmiechnął się do nich. - Od razu zorientowałem się, że opat świątyni, z której zabrano szafiry, jest bardzo bystry. - Znów przerwał na chwilę i dodał: - Powiadomił sekretnie policję, że łupem złodziei padły wszystkie złote ozdoby otaczające święty wizerunek Buddy.

Ankana wydawała się niezmiernie zaintrygowana, ojciec wyjaśnił więc:

- Pod wpływem nalegań opata policja przesłuchiwała i przeszukiwała każdego, kto opuszczał Czieng-mai.

- Ach, rozumiem! - wykrzyknęła. - W ten sposób zorientowałeś się, że szafiry nie zostały jeszcze wyniesione z miasta.

- Jeśliby, jak sądziłem, zamierzali zabrać je do Kambodży - odparł ojciec - musieliby popłynąć łodzią do Bangkoku i tam wsiąść na statek udający się do

Zatoki Syjamskiej.

Ankana słuchała nie spuszczać swych ogromnych oczu z twarzy ojca. Markiz przypatrywał jej się z upodobaniem. Myślał sobie, że teraz, pod opieką ojca, nie musi udawać tak młodej i chodzić z włosami puszczone luźno na ramiona. Nagle doznał nieodpartej chęci dotknięcia tych włosów, zanim dziewczyna upnie je wedle mody na czubku głowy. Potem, zdumiony własnymi odczuciami, zmusił się do słuchania opowieści Calvina.

- Jak się spodziewałem - ciągnął Brook - złodzieje nie mieli żadnej możliwości wyjścia poza mury miasta bez uprzedniego policyjnego przesłuchania. Tak czy inaczej musieli poczekać na łódź płynącą w dół rzeki.

- Przerwał dla nabrania tchu. - Oczywiście było - podjął - że wyruszą w nocy. Sam nie wiem, jak to się stało, że w ciemnościach straciłem z oczu obu ubezpieczających mnie policjantów. I wtedy nagle zdałem sobie sprawę, że mam przed sobą trzech mężczyzn, z których dwaj już siedzą w łodzi ukrytej w nadrzecznym listowiu. Rzuciłem się do przodu, by pochwycić trzeciego, stojącego jeszcze na brzegu. Wtedy tamci dwaj rozkazali wiosłarzom odbijać. Popłynęli szybko z prądem, nie troszcząc się o los kamrata.

Walczył ze mną zajadle, zdecydowany, jestem tego pewien, zabić mnie i popłynąć za tamtymi, by wziąć udział w podziale łupu, który uwozili.

- On mógł cię... zabić, papo - rzekła Ankana z trwogą w głosie.

- I ja tak myślę - przytaknął ojciec. - Ale gdy przyszło mi wybierać: ja albo oni - nie zawahałem się wiedząc, jaka rola przypadła mi w udziale.

Ankana przysunęła się nieco bliżej do ojca, on zaś mówił:

- Gdy się z nim uporałem, zdałem sobie sprawę, że jego kamraci mogli mnie widzieć bardzo wyraźnie w blasku księżyca, zatem stałem się człowiekiem

napiętnowanym.

- A więc dlatego upozorowałeś swoją śmierć - ! wykrzyknęła dziewczyna.

- Na szczęście miałem przy sobie kilka dokumentów, niezbyt ważnych, podpisałem je więc swoim nazwiskiem i wsunąłem do kieszeni tego człowieka. - Umilkł, uśmiechnął się krzywo i dodał: - Potem, by nikt nie wątpił, że nie zaszła pomyłka, wsunąłem mój pierścień na palec nieboszczyka.

- Mądrze postąpiłeś - pochwalił go markiz.

- Rozsądnie - roześmiał się Calvin. - Potem wcisnąłem jego twarz w sitowie, wiedząc, że nim znajdą ciało, będzie nie do rozpoznania. Następnie ulotniłem się.

- Nie było to trudne? Z pewnością szukała cię policja.

- Ulatniałem się wiele razy w moim życiu - roześmiał się. - Osmond dobrze o tym wie.

- Mów dalej - ponaglił go markiz.

- Następną rzeczą, którą musiałem zrobić, było stwierdzenie, dokąd podążyli złodzieje. Na szczęście łódź do Kambodży, którą spodziewali się zastać w Bangkoku, wypłynęła dzień przed ich przybyciem.

Ankana wydała lekki okrzyk podniecenia, lecz nie przerwała ojcu.

- Myślę, że wtedy wpadli w panikę, iż ktoś może donieść, że są jeszcze w mieście. Dlatego wsiedli w rybacką łódź, żeby popłynąć w dół rzeki do morza.

- Iw taki oto sposób dotarli do Pattaya - zauważył markiz.

- Właśnie! - odparł Calvin. - I czekając tutaj na statek, chytrze ukryli szafiry w świątyni nad zatoką.

- Jak się o tym dowiedziałeś? - spytała Ankana z zapartym tchem.

- W tym czasie przybyłem do Bangkoku - wyjaśnił ojciec - przebrany za

mnicha. Ponieważ w Syjamie mnisi to istoty czcigodnej byłem traktowany z kurtuazją. - Umilkł i zaraz znów podjął: - Pytania budzące podejrzliwość lub nazbyt niedyskretne mogłem zadawać jedynie bez "Otoczki owej aury świętości. - Spojrzał z ukosa na markiza i wtrącił: - Jak dobrze wiesz, Osmondzie, bywaliśmy jako przyjaciele lub przynajmniej kamraci w bardzo dziwnych miejscach!

- Ty bywałeś! - uciął ostro Vale.

- Dzięki małej zachęcie i oczywiście przez wzgląd na moją uprzywilejowaną pozycję powiedziano mi, że dwaj mężczyźni, pragnący pilnie dostać się do Kambodży, byli bardzo radzi, gdy powszechnie znany rybak zgodził się zawieźć ich aż do Pattayi.

- Ale skąd ci przyszło do głowy, że kamienie są w świątyni? - spytała Ankana.

- Uznałem za nieprawdopodobne, by dwaj mężczyźni kręcili się po mieście z tak drogocennymi przedmiotami w kieszeni. Mogli wszak przez przypadek wpaść się w bójkę. Mogli też podczas snu wpaść w łapy innych złodziei.

- I dlatego, twoim zdaniem, ukryli swój łup w świątyni?

- Czy mieli lepsze miejsce? - spytał Brook. - Jak dobrze wiesz, w tym kraju nikt nie poważy się ograbić Buddy. Ściągnąłby na siebie przekleństwo lub w najlepszym razie serię nieszczęść.

- Tak więc udałeś się do świątyni! - wykrzyknęła Ankana.

- Tam postanowiłem czekać na grabieżców. Ale rzecz jasna nie miałem pojęcia, gdzie w tej prawie ruinie ukryli kamienie. Przypuszczałem - dodał zniżonym głosem - że mogli je umieścić w ziemi, pod posągami, albo zuchwałej, w palcach stóp Buddy, skąd przecież wyjęli je w Czieng-Mai.

- Byłeś bardzo dzielny, papo, udając się tam w pojedynkę.

- Nie znałem nikogo, komu mógłbym zaufać - odparł. - Zresztą wierzyłem, że sam sobie poradzę z tymi typami. Jestem wdzięczny Osmondowi, że zjawił się akurat w chwili, gdy był najbardziej potrzebny.

- Moją dewizą jest: nie popychać szczęścia - rzekł markiz. - Gdyby Ankana nie ściągnęła na siebie uwagi draba, który zamierzał dźgnąć cię nożem w plecy, moglibyśmy mieć całkiem inną historię do opowiadania.

- Wiem - odparł Calvin Brook. - I jestem nieskończenie wdzięczny za uratowanie mi życia.

Spojrzał czule na córkę i dodał:

- Dziękuję ci, córeczko. Chociaż przez cały czas czułem krążące wokół mnie twoje myśli, wyobrażałem sobie, że jesteś w Londynie, bierzesz udział w balach i przyjęciach w pałacu Buckingham.

- Markiz chciał, żebym właśnie to robiła - odrzekła dziewczyna. - Ale ja wiedziałam, papo, że jesteś w niebezpieczeństwie, i nie byłam w stanie wysłuchiwać pustych słów swych tancerzy. Przejmowała mnie trwogą myśl, że mogą cię zabić.

Calvin Brook pocałował ją w czoło i powiedział:

- Umyśliłem sobie, że będziesz damą z towarzystwa, a ty porzuciłaś wielki świat i przybyłaś tu, ryzykując życie wśród złodziei i nożowników.

- Nie powinieneś robić mi wymówek, że tak postąpiłam - sprzeciwiła się córka. - Przecież przez trzy tygodnie żyłam prawdziwym życiem u boku markiza!

Rzuciła Osmondowi wyzywające spojrzenie, a wtedy on rzekł:

- Zrozum, że kiedy Ankana wsiadła na jacht, nie mogłem rzucić jej rybom na pożarcie. Jedyne, co mi pozostało, to nakazać jej, by udawała młodszą, niż jest.

- A ja zastanawiałem się, dlaczego ma rozpuszczone włosy - zauważył Calvin.  
- Musisz natychmiast - zwrócił się do córki - pojechać do ciotki i spróbować znów być damą.

Powiedział to z powagą, choć w oczach migotały mu figlarne błyski. Ankana wydała okrzyk grozy, a potem rzekła:

- Nie, papo! Nie chcę wracać do takiego życia! Chcę być z tobą!

- Niestety, to niemożliwe!

- Dlaczego? - spytała.

- Ponieważ dałem słowo. No i mam jeszcze coś do zrobienia. - Umilkł, uśmiechnął się i dodał: - Zamierzam wyruszyć do Tybetu w poszukiwaniu bardzo szczególnych rękopisów, które ponoć znajdują się w jednym z klasztorów. Oznacza to, iż będę przez wiele miesięcy, jeżeli nie dłużej, przebywał z mnichami. - Przyciągnął ją do siebie mówiąc: - Choćbyś mnie o to błagała, najmilsza córeczko, musisz zrozumieć, że nie mam możliwości zabrania cię ze sobą, gdyż mnisi nie otworzą wrót młodej kobiecie.

- To niewątpliwie prawda - wtrącił markiz.

Ankana wstała z sofy, na której siedziała obok ojca, i podeszła do okna salonu. Płynęli szybko po spokojnym morzu i było oczywiste, że wkrótce osiągną port Menam Cza Phya. Wiedziała, że gdy tylko znajdą się w Bangkoku, ojciec wręczy królowi szafiry i wątpliwe jest, czy zostanie z nimi dłużej. Znała go dobrze i wyczuwała nutę ekscytacji w jego głosie, gdy mówił o zamiarze podróży do Tybetu. Pamiętała, że od dawna myślał o tej wyprawie. Teraz, kiedy nadarzała się sposobność, nic nie mogło go powstrzymać przed jak najrychlejszym wyjazdem. Dla Ankany oznaczało to podróż powrotną do Anglii pod opieką markiza. O ile, oczywiście, nie ma on innych planów. Bo jeżeli tak,

to ona, Ankana, zostanie powierzona jakiejś szacownej damie i odesłana do domu pierwszym statkiem, jaki zawinie do Bangkoku.

Odeszła od okna, zastanawiając się, czy może liczyć na to, że markiz zechce wziąć ją na jacht. On zaś, nie patrząc na nią, lecz na przyjaciela, rzekł:

- To brzmi niezwykle interesująco, Calvinie, aczkolwiek ośmielam się przestrzec cię, że może okazać się nieco uciążliwe.

- To mnie nie zniechęca - odparł Brook. - Udało mi się uzyskać zaproszenie od najważniejszego klasztoru w Tybecie oraz obietnicę, że zostanę przyjęty przez Dal aj Lamę.

Satysfakcja, z jaką to powiedział, przekonała oboje słuchaczy, że oto spełnia się jego sen. Po krótkim milczeniu Vale oznajmił:

- Chciałbym móc pojechać z tobą.

- Nic nie sprawiłoby mi większej radości - odparł Brook.

Ankana wstrzymała oddech. Tego było za wiele: nie tylko ojciec ją opuszcza, ale także markiz. Odwróciła się i bez słowa wyszła z salonu, zatraskując za sobą drzwi.

Gdy Calvin spojrział za nią zdumiony, Osmond rzekł:

- Chcę porozmawiać z tobą o Ankanie.

## Rozdział siódmy

Markiz zszedł pod pokład i korytarzykiem udał się do kabiny zajmowanej przez Ankanę. Przez chwilę stał pod drzwiami, a potem bez pukania wszedł do środka. Dziewczyna zeskoczyła z łóżka i podbiegła do iluminatora. Vale bez słowa zamknął za sobą drzwi. Ankana spytała:

- Czy to ty, papo?

W jej głosie czuło się łzy, markiz podszedł więc powoli i stanął u jej boku.

- Dlaczego płaczesz? - spytał miękko.

- Nie płaczę! - zaprzeczyła zgoła jak dziecko. Ale on widział łzy spływające jej po policzkach, rzekł więc po chwili milczenia:

- Wiem, że zasmucił cię zamiar ojca, by jak najrychlej znów ruszyć w podróż.

Westchnąwszy lekko spytała:

- Co robi... papa?

Mówiła porywczo. Markiz odparł spokojnie:

- Powiedział, że chce odpocząć. Gdy zostawiłem go leżącego w salonie na sofie, był pogrążony we śnie. - Zauważywszy, że westchnęła z ulgą, ciągnął dalej:

- Twój ojciec spał bardzo mało czekając w świątyni na złodziei. Teraz jednak powziął postanowienie i uważam, że postąpi mądrze, jeżeli wypłynie z Bangkoku pierwszym statkiem udającym się do Kalkuty. Znów umilkł, a po chwili kontynuował: - Stamtąd rozpocznie swą podróż do Tybetu.

Zauważył, że Ankana zacisnęła dłonie, jakby chciała powstrzymać się od płaczu. Potem zapytała słabym, pełnym wahania głosem:

- Czy... pojedziesz z... nim? Markiz potrząsnął głową:

- Mam inne plany, które chcę omówić z tobą.

Ankana była pewna, że markiz poczynił przygotowania do jej podróży powrotnej. Ponieważ czuła, że nie zniesie tego, co ma jej do powiedzenia, odwróciła głowę i rzekła trochę bezładnie:

- Czy musimy rozmawiać o tym... teraz?

- Myślę, że może cię to zainteresować - odparł.

- Planuję mój miodowy miesiąc.

Ankana zeszywniała, a potem spytała nieswoim głosem:

- Cz... czy powiedziałaś... „mój m... miesiąc miodowy”?

- Sądzę, że będzie to rozwiązanie zarówno twojego, jak i mojego problemu.

Zwróciła się ku niemu zdumiona, jej oczy w oprawie mokrych rzęs były ogromne w drobnej twarzy.

- C... co powiedziałaś? Nie... rozumiem!

Markiz uśmiechnął się, a potem wolno, jakby powściągając niecierpliwość, otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie.

- A gdzież twoja intuicja i przypisywana sobie zdolność czytania w myślach - spytał - skoro wciąż jeszcze nie wiesz, że cię kocham.

- To... to nie może być prawda! - wyszeptała.

- Ale to jest prawda - odparł. - Kocham cię od dawna.

Umilkł, spojrział na nią i dokończył:

- Kiedy zobaczyłem wymierzony w ciebie nóż napastnika, pojąłem, że utrata ciebie oznaczałaby utratę wszystkiego, co drogocenne, i moje życie stałoby się bezwartościowe.

Nie czekając na odpowiedź, przytulił ją mocniej, a jego usta wzięły w posiadanie jej wargi.

Ankanie zdało się, że ziemia umyka jej spod stóp, ona zaś ulatuje pod niebiosą. Uczucia, których doznała, gdy markiz po raz pierwszy dotknął jej ust, powróciły z całą mocą. Przymknęły ją na wskroś i wprawiły w stan ekstazy.

Spełnił się dziewczęcy sen o prawdziwej miłości.

Wiedziała, że nie zdarzyłoby się to w świecie, do którego wysyłał ją ojciec i gdzie, zdaniem ciotki, powinna szukać męża. Teraz, gdy markiz trzymał ją w ramionach i całował coraz natarczywiej i zachłanniej, czuła, że jest on tym mężczyzną, którego pragnęła.

Jej miłość do niego była niezgłębiona jak morze, nieogarniona jak niebiosą. Została jej dana przez Boską Moc, w którą oboje, ona i ojciec, wierzyli. Była doskonała. Łzy znowu popłynęły po policzkach Ankany.

Markiz uniósł głowę i powiedział głosem głębokim i wzruszonym:

- Nie płaczesz chyba, mój skarbie?

- To tylko... ze szczęścia! Kocham cię... ale nie myślałam, że i ty mnie kochasz!

- Będę potrzebował wiele czasu, by ci powiedzieć, jak bardzo - odparł. - Dlatego musimy mieć bardzo długi miesiąc miodowy.

I znów, nie czekając na odpowiedź, pochylił się ku jej wargom. Zdało mu się, że ciało Ankany stapia się z jego ciałem. Nigdy dotąd z żadną kobietą nie doświadczył podobnego uczucia.

- Co ty mi zadałaś, najdroższa - spytał chwilę później - że tak się czuję?

- To znaczy, jak? - szepnęła, a oczy zalśniły jej niczym gwiazdy.

- Czuję się, jakbym posiadał cały świat. Jak gdybym znalazł to, czego zawsze szukałem: złote runo i świętego Graala. Jakby moja pielgrzymka była skończona.

- Czy jesteś tego absolutnie... pewny?

- Zamierzam cię o tym przekonać. Gdy jednak będziemy świętować nasze złote gody, przyznasz mi, że miałem rację.

Ankana zaśmiała się leciutko. Potem rzekła:

- Skoro mamy się pobrać... czy mogłabym sprawić sobie nowe suknie? Gdy wsiadałam na jacht, wzięłam ze sobą tylko dwie muślinowe i one są teraz prawie w strzepach.

Markiz też się roześmiał.

- Myślę, moje kochanie - powiedział - że po raz pierwszy słyszę cię mówiącą jak prawdziwa kobieta.

Nigdy przedtem się to nie zdarzyło, choć tak długo przebywaliśmy razem na jachcie. - Spojrzał na nią czule i dodał: - Jestem pewien, że twoja szafa, którą musiałaś nosić ze sobą, nie jest zbyt zasobna.

- Sądziłam, że to jest bez znaczenia, skoro wcale się mną nie interesowałeś - wyjaśniła. - Ale teraz chcę wyglądać ładnie... dla ciebie.

- Ależ wyglądasz pięknie! - wykrzyknął markiz.

- Uwielbiam cię z tymi długimi włosami opadającymi na ramiona.

Umilkł, a potem powiedział:

- Przypuszczam, że ludzie byliby nieco zdziwieni, gdyby ujrzeli u mego boku w roli żony małą dziewczynkę, zatem kupimy trochę sukien już teraz, w Bangkoku.

Ucałował jej oczy i dodał:

- Część naszego miodowego miesiąca spędzimy w Hongkongu, gdzie chińscy kupcy zaopatrzą cię we wszystko, co potrzebne. - Po krótkim milczeniu rzekł:

- Przy ich talentach handlowych w ciągu doby wypełnisz zamówionymi strojami wszystkie szafy i szafki na jachcie.

Ankana obdarzyła go promiennym uśmiechem.

- Nie jestem zachłanna - rzekła. - Ale obawiam się, że jeżeli nie będę wyglądała atrakcyjnie, przestaniesz mnie kochać.

- To niemożliwe!

Mówiąc to był świadom, że kocha Ankanę nie tak, jak kochał inne kobiety - po prostu dla urody. Z tą dziewczyną łączyły go więzy duchowe oraz intelektualne odmienne od dotychczasowych.

- Kocham twój mały mądry umysł - rzekł. - I jednego jestem pewien: przy tobie nigdy nie będę znudzony ani cyniczny.

- Teraz mnie przerażasz! - wykrzyknęła Ankana.

- Wprost przeciwnie: uspokajam cię - odparł.

- Właśnie myślałem sobie dziś rano, że z żadną ze znanych mi dotychczas kobiet nie mógłbym spędzić tak wiele czasu sam na sam nie nudząc się ani chwili.

- Czy to prawda? - nie dowierzała.

- Przysięgam ci, że prawda! - zapewnił. - Każdego wieczoru, kładąc się do łóżka w swojej kabinie, myślałem o tobie, przepowiadałem sobie raz jeszcze naszą rozmowę, a twoje argumenty pobudzały mój umysł tak, że z trudem powstrzymywałem się przed pójściem do ciebie na dalszy ciąg dysputy. - Objął ją mocniej i dodał:

- Wkrótce nic już nie będzie stało na przeszkodzie naszym rozmowom, lecz ich przedmiotem, mam nadzieję, będzie miłość.

Poczuł drżenie Ankany i pomyślał, że nigdy jeszcze nie zaznał niczego równie podniecającego.

Potem znów ją całował. Całował tak, że myśli i słowa gdzieś uleciały,

pozostały tylko uczucia.

- Nieco później, gdy Calvin Brook ocknął się ze snu, weszli do salonu trzymając się za ręce, by oznajmić mu dobrą nowinę.

- Nie mogę sobie wyobrazić niczego bardziej satysfakcjonującego - wykrzyknął. - Zawsze się obawiałem, moja droga córko, że poślubisz człowieka, który nie będzie ciebie wart. - Uśmiechnął się i ciągnął: - Znam Osmonda tak dobrze, byliśmy razem w tylu dziwnych miejscach, a nawet ocieraliśmy się wspólnie o śmierć, że nie mógłbym sobie wymarzyć lepszego zięcia.

- Dziękuję, Calvinie - rzekł z uśmiechem Vale.

- Wiem, że będziesz troszczył się o Ankanę - ciągnął Brook. - Poza tym jeżeli o mnie chodzi, miałem w niej zawsze nie tylko zachwycającą towarzyszkę, lecz także kogoś, kto mnie inspirował i budził we mnie ambicje, jakich przedtem nie znałem.

- Te rzeczy sam już odkryłem - rzekł spokojnie markiz.

- Wprawiacie mnie obaj w zakłopotanie - przerwała im Ankana. - I proszę cię, papo, nie opuszczaj nas na długo.

- Zapewne wrócę w samą porę, by zobaczyć mojego pierwszego wnuka! - odparł Calvin Brook.

Markiz pomyślał, że z rumieńcem zawstydenia na twarzy Ankana wygląda prześlicznie.

Gdy „Koł Morski” dotarł do Bangkoku, Dobson został niezwłocznie wysłany do najlepszych i najdroższych pracowni krawieckich z poleceniem, by dostarczyły na jacht kobiece stroje. Ankana zajęła się wyborem sukien i innych potrzebnych rzeczy, markiz zaś i ojciec poszli do pałacu, by wręczyć królowi pięć szafirów i oznajmić mu, że ich misja została wypełniona.

Czulalongkorn był, jak się spodziewali, zachwycony. Zarazem jednak oświadczył z powagą:

- Myślę, panie Brook, że popełnia pan wielki błąd, przedłużając swój pobyt w Bangkoku. To samo dotyczy pana, milordzie. - Westchnął ciężko i kontynuował:

- Nasi wrogowie z Kambodży potrafią być bardzo nieprzyjemni, zwłaszcza że kilku odniosło rany lub też zginęło.

- Jesteśmy tego świadomi, wasza wysokość - odparł Brook. - Jeśli o mnie chodzi, odpływam dziś w nocy statkiem udającym się do Kalkuty. - Umilkł na chwilę, a potem dodał: - Może zainteresuje cię fakt, panie, że będę podróżował pod przybranym nazwiskiem, tak że niełatwo odnajdą mnie wrogowie szukający rewanżu.

- To rozsądne - skinął z aprobatą król. - Jak zawsze wszystko, o co mnie poprosisz, będzie do twojej dyspozycji.

- Dziękuję, wasza wysokość.

Król spojrział na markiza, który odezwał się:

- Ja również, wasza wysokość, zamierzam opuścić Bangkok dziś wieczorem. Zanim wszakże to uczynię, pragnę wziąć ślub z Ankaną Brook w kościele anglikańskim.

- To wspaniała nowina! - wykrzyknął monarcha.

- Wspaniała! Ankana jest nad wyraz piękną, niewypowiedzianie czarującą młodą damą i jestem pewien, milordzie, że będziesz szczęśliwy.

- Ja również jestem tego całkiem pewien - odparł Vale. - Chcę jednak zaznaczyć, że wasza wysokość jest jedyną osobą, która zna nasze zamiary.

Król spojrział nań łaskawie, markiz zaś kontynuował:

- Z tego samego powodu, dla którego pan Brook podróżuje incognito, wezmę

ślub pod nazwiskiem rodowym, lecz bez tytułu. Nie chcę też, by w uroczystości uczestniczyli obserwatorzy lub przedstawiciele prasy.

Król zastanawiał się nad czymś przez chwilę, zanim rzekł:

- Mam lepszy pomysł! Uważam, że niepożądane byłoby, abyś pokazywał się na mieście. - Umilkł, popatrzył surowo na markiza i powiedział: - Pan Brook, jak doskonale wiemy, jest mistrzem mistyfikacji, lecz ty, milordzie, jesteś zbyt wysoki, zbyt dystyngowany, nazbyt przystojny, by pozostać niezauważonym.

Markiz roześmiał się trochę ponuro, król zaś mówił dalej:

- Jak wiadomo, misjonarze w moim kraju, podobnie jak w innych częściach świata, wożą ze sobą poświęcone kamienie ofiarne, tak że mogą odprawiać swoje ceremonie w najdziwniejszych miejscach.

Markiz przysłuchiwał się uważnie słowom króla, przytakując. Pamiętał, że misjonarze w Afryce zawsze taszczyli ze sobą kamień ofiarny w postaci płyty lub skały, na której umieszczali ołtarz.

- Otóż mam zamiar zaproponować - ciągnął król - abyście wzięli ślub tutaj, w pałacu, zamiast w kościele. Tam mogliby cię rozpoznać, jako że uroczystość przyciągnie ciekawskich.

Markiz wydawał się zaskoczony,

- Tak się składa - ciągnął monarcha - że dziś rano przybył do Bangkoku wielce szanowany człowiek, który podróżuje po północnych obszarach mojego kraju i udziela pomocy medycznej licznym ofiarom epidemii tyfusu.

- Ojciec Trevor Sutherland! - wtrącił Calvin Brook, wiedząc dobrze, o kim mowa.

- Ten sam! Bardzo niezwykły człowiek! - przytaknął monarcha. - Ponieważ zapragnąłem podziękować mu osobiście za jego skuteczną pomoc lekarską, z

jaką pośpieszył moim poddanym, zaprosiłem go tu, do pałacu, w charakterze królewskiego gościa.

Nie trzeba było mówić więcej. Markiz podziękował królowi za jego łaskawość. Czulalongkorn oświadczył, że odda mu do dyspozycji pokój w Pałacu Spokojnej Radości na jak długo zechce.

Gdy powrócili na jacht, ponaglani chęcią opowiedzenia o wszystkim Ankanie, znaleźli ją niezmiernie podekscytowaną widokiem kreacji dostarczonych przez pracownice krawieckie. Nie wyjawiała im jednak, która z nich będzie szatą ślubną. Ze względu na młody wiek klientki krawcowe przygotowały stroje w kolorach białych i jasnych. Nie przyszło im nawet do głowy, że może chodzić i o suknię na specjalną okazję.

Ankana weszła do salonu ubrana w prostą, białą toaletę, uszytą z wybornego jedwabiu. Włosy miała upięte na czubku głowy okolonej wianuszkami kwiatów. Markiz pomyślał, że nie jest już ani trochę uczennicą szkolną, z którą podróżował, lecz prawdziwą kobietą. Welon, wianek i bukiet z prawdziwych kwiatów, kupiony jej przez markiza, wprowadziły Ankanę w weselny nastrój.

Przysłanym przez króla powozem udali się wszyscy do Pałacu Spokojnej Radości. Powitał ich jedynie szambelan, który poprowadził przybyłych do pomieszczenia, gdzie czekał już na nich ojciec Sutherland. Otrzymał widocznie odpowiednie instrukcje od króla, gdyż w dalekim końcu pokoju stał stół nakryty przepięknie haftowaną kapą w złote i srebrne desenie. Sześć świec płonęło w pięknie zdobionych, drogocennych lichtarzach. Na środku tego niezwykłego i egzotycznego ołtarza leżał poświecony kamień, który ojciec Sutherland woził zawsze ze sobą. Po obu zaś jego stronach stały olbrzymie wazy z kwiatami wypełniającymi zapachem całe pomieszczenie. Girlandy kwiatów

zdobiły również obrazy, okna oraz drzwi. Ankana pomyślała, że żadna panna młoda nie mogłaby sobie wymarzyć dziwniejszego, a zarazem atrakcyjniejszego tła dla ceremonii ślubnej.

Markiz i ojciec byli w ubraniach wieczorowych. Gdyby przypadkiem ktoś ich zobaczył, uznalby, że wybierają się na kolację do jego królewskiej wysokości.

Ojciec Sutherland wygłaszał formuły ślubne z tak serdecznym przejęciem, że każde słowo wnikało głęboko do serca. Ankana, klęcząc przed nim z ręką w dłoni markiza, modliła się o błogosławieństwo dla ich związku. Prosiła Boga, by pozwolił jej stać się żoną upragnioną przez męża nawet wtedy, gdy jego pozycja w Anglii przyczyni jej licznych trudności i problemów. Kochała go tak ogromnie, że uczyniłaby dlań wszystko, o co tylko by poprosił. Zarazem jednak była dostatecznie inteligentna, by zdawać sobie sprawę, że jej przyszłe życie może być bardzo różne od dotychczasowego.

Podczas licznych przygód, w których uczestniczyła wraz z ojcem, poznała wielu dziwnych, lecz interesujących ludzi, którzy stali się jej przyjaciółmi. Wielki świat, do którego miała wejść jako żona markiza, z całą pewnością by ich nie zaakceptował. Myśląc o tym przestraszyła się, że może rozczarować swego męża, a wtedy on pożałuje, że ją poślubił. Zaraz jednak pocieszyła się, iż przecież Boska Moc, która pomogła jej odnaleźć ojca, wciąż jest z nią. Pozwoliła jej pokonać niebezpieczeństwa, które inną kobietę pozbawiłyby panowania nad sobą, i jej nadal niezawodzi.

- Pomóż mi... pomóż mi, Boże! - błagała w głębi serca.

Poczuła, że palce markiza zaciskają się na jej dłoni, i zrozumiała, że ukochany odgaduje jej myśli. Spotkało ją niewiarygodne szczęście: znalazła mężczyznę reagującego na jej niepokój prawie tak czule jak ojciec. Była przekonana, że

wskutek ich bliskości, która się zresztą zacieśni po ślubie, jego intuicja oraz instynkt rozwiną się jeszcze bardziej. Wkrótce staną się jednością, nie tylko cieleśnie, ale także duchowo.

Ojciec Sutherland pobłogosławił ich. Powstali z klęczek i podążyli do drzwi pałacu, przed którymi czekały na nich dwa królewskie powozy. Szambelan jednak oznajmił, że jego wysokość pragnie zamienić ostatnie słowo z panem Brookiem, który miał drugim powozem podążyć za nimi do przystani. Tak więc młodzi małżonkowie pojechali sami.

Markiz podniósł do ust dłoń Ankany i całował jej palce, jeden po drugim.

- Trudno mi... uwierzyć, że naprawdę zostałam twoją żoną - wyszeptała ledwo słyszalnym głosem.

- Jesteś moją żoną - odrzekł. - I teraz już wszystko będziemy robić razem. Przrzekam ci, że nigdy więcej nie dam ci powodów do zazdrości.

- Zrozumiałeś, że byłam... zazdrosna?

- Wtedy przyszło mi na myśl, że może mnie trochę... kochasz.

- Już wtedy kochałam cię z całej duszy - odparła. - Lecz teraz wypełniasz także moje życie!

- To właśnie chciałem usłyszeć. Znowu ucałował jej dłoń.

Gdy dotarli do jachtu, pomógł jej wejść na pokład, a potem czekali w salonie na powrót Calvina Brooka. Markiz był ciekaw, dlaczego król zapragnął się z nim zobaczyć. Brook roześmiał się.

- Nie musisz pytać, wiem, o czym myślisz. Jego wysokość niespodziewanie zlecił mi załatwienie pewnej sprawy w Tybecie. Może z tego wyniknąć korzyść dla Syjamu.

- Zgaduję - rzekł z uśmiechem markiz - że król obawia się, iż mógłby stracić z

tobą kontakt. Zrobiłeś tak wiele dla tego kraju, że nigdy nie pozwolą ci odejść.

- A cóż mógłbym robić lepszego niż siedzieć tutaj, gdy będę zbyt stary, by włączyć się po świecie. To kraj uśmiechu i tylko tu czuję się szczęśliwy.

- To cudowna myśl! - wykrzyknęła z entuzjazmem Ankana. - Każdego roku będziemy przyjeżdżać do ciebie, bo pewne jest, że zbudujesz sobie tutaj wielki dom.

- Uczynię to! - obiecał ojciec.

Został z nimi jeszcze godzinę, tak że zjedli razem kolację. Potem udał się w dół rzeki, gdzie zacumował statek, mający go zabrać do Indii.

- Daj mi słowo, że będziesz na siebie uważał! - prosiła Ankana błagalnie. - Ja nie chcę ponownie przeżywać twojej śmierci.

- Będziesz zawsze wiedziała, gdzie jestem - rzeki poufnie. - Zewsząd, czy to z Tybetu, czy z Księżyca, dosięgnę cię energią myśli, kochanie.

- Zrób to, proszę. Będę się modliła za ciebie.

- Twoje modlitwy będą mnie chroniły, jak zawsze - odparł.

Ruszył w drogę. Markiz spostrzegł, iż smutek rozstania z córką roztapia się w ekscytacji czekającą go przygodą oraz w perspektywie pobytu w tybetańskim klasztorze. Zezwolenie na wgląd w bezcenne manuskrypty, przechowywane tam od stuleci, było nie lada przywilejem.

Kiedy Calvin Brook zniknął, markiz objął Ankanę i poprowadził do kabiny. Nie wypuszczając jej z ramion, otworzył drzwi - i Ankana wydała lekkie westchnienie. Podczas gdy jedli kolację, Dobson dokonał gruntownych zmian w obu kajutach. Teraz jej stroje znajdowały się w apartamencie męża, wypełnionym obfitością kwiatów. Tylko wierny sługa wiedział o ślubie swego pana. Całą rzecz trzymano w ścisłej tajemnicy, nawet kapitan nie miał pojęcia,

co się święci.

Pod pokładem zawarczały silniki i jacht wolno ruszył z miejsca naprzeciwko królewskiego pałacu, gdzie stał na kotwicy. Ankana przyjrzała się kwiatom, a potem spojrzenie jej padło na nową koszulę nocną, którą sobie sama dziś rano wybrała, rozłożoną na łóżku. Powiedziała bezwiednie:

- Nie wolno mi pozbawiać cię twojej kabiny, kochanie!

- Naszej kabiny! - poprawił ją markiz. - Czyżbyś zapomniała, moja najdroższa maleńka żono, że jesteśmy małżeństwem?!

Ujął dłonią jej twarz i podniósł ku swojej.

- Nie mogłem cię całować - rzekł lekko schrypniętym głosem - dopóki twój ojciec był z nami, ponieważ trudno by mi było myśleć wtedy o czymkolwiek innym. Teraz jednak jesteśmy sami - głos jego nabrał głębi - a ty należysz do mnie i będziesz należała, dopóki morza nie wyschną, a gwiazdy nie spadną z nieboskłonu.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Pomyślał przy tym, że łagodność i słodycz to symbole jej kobiecości. Pragnął, aby była bardzo kobieca i potrzebowała jego opieki, a jednocześnie pobudzała go i inspirowała w sposób, jakiego dotychczas nie doświadczył.

Ogarniając ją mocniej ramionami czuł się mężczyzną najszcześniejszym w świecie. Tak wiele znalazł w tej drobnej istocie, która go zaintrygowała, zafascynowała i przykuła do siebie na resztę życia.

Długo potem „Koń Morski” zarzucił kotwicę w dole rzeki, gdzie nikt nie mógł go dostrzec i gdzie rosły jedynie drzewa palmowe oraz mangrowce. Ankana uniosła twarz ponad ramieniem męża i pocałowała go.

- Kocham cię - szepnęła.

- A ja nie potrafię wyrazić swoich uczuć do ciebie - odparł. - Nigdy jeszcze nie doświadczyłem tak wielkiego szczęścia jak z tobą, uwierz mi, najdroższa.

- Czy to prawda?... Czy to rzeczywiście prawda? - pytała. - Tak bardzo się bałam, że cię rozczaruję. - To nie mogłoby się zdarzyć - zaprotestował.

- Nigdy nie znałem nikogo równie pięknego, ale ty dałaś mi o wiele więcej aniżeli piękno.

Przysunęła się doń trochę bliżej, on zaś mówił dalej:

- Stanowimy teraz jedność. Czuję, że myśląc jednakowo będziemy skuteczniej pomagali innym ludziom aniżeli z osobna.

- I ja tak sądzę - odparła. - Och, ukochany mój, wiem, że jesteś kimś bardzo ważnym w świecie, lecz proszę cię, obiecaj, iż będziesz zawsze zwracał się do mnie w trudnych sprawach.

- Wiem, że nie potrafię zrobić niczego bez ciebie - zapewnił ją. - Mam świadomość, że to uczucie będzie z czasem- rosło i że powinniśmy rozwinąć je u naszych dzieci w takim samym stopniu, w jakim sami je mamy.

Ankana uniosła ku niemu twarz.

- Modlę się, bym mogła dać ci... syna - wyszeptała. Jej słowa poruszyły markiza.

- Pragnę - powiedział - by dzieci wypełniły wielki dom, czekający na nas w kraju, i by ktoś przejął rodowe nazwisko. - Urwał, uśmiechnął się do niej i mówił dalej: - Ale będę zazdrosny, jeżeli pokochasz je bardziej aniżeli mnie, gdyż twoja miłość jest dla mnie ważniejsza niż cokolwiek w tym życiu.

- Moja miłość należy do ciebie! - odparła szybko.

- I ja należę do ciebie.

- Już ci mówiłem, że wielbię twoją piękność i niezwykłość twojej twarzy -

rzekł i ucałował jej oczy, mały prosty nosek, dołeczki po obu stronach ust. Potem dodał: - Ale nie mniej kocham twój zachwycający, fascynujący, inspirujący i niezwykle oryginalny intelekt.

- Umilkł, by spojrzeć na nią czule, i dopowiedział:

- Jedno jest dla mnie pewne: nigdy mnie nie znudzisz powtarzając bez końca słowa od dawna dobrze mi znane.

- To wyzwanie - zaśmiała się Ankana. - Jeżeli jednak będę nieobliczalna lub irytująca, to wyłącznie z twojej winy.

- Zaryzykuję! - powiedział markiz. Pamiętał, jak często bywał znudzony kobietami, nie znajdując w nich niczego oryginalnego czy niezwykłego.

Przyciągnąwszy ją jeszcze bliżej do siebie, wodził dłonią po jej delikatnym ciele i mówił:

- Kocham twoje serce, które, wierzę w to, należy do mnie, tak jak moje należy do ciebie. Lecz istnieje jeszcze coś, moja słodka, o co nie prosiłem dotąd żadnej kobiety, a co pragnę dostać od ciebie.

Ankana zmarszczyła czoło, dając do zrozumienia, że mu nie wierzy, a markiz rzekł łagodnie:

Pragnę twojej duszy. Duszy, która sprawia, że jesteś, jaka jesteś, i która, wiem to, rozmawia z Potęgą zsyłającą pomoc. Chcę również tego.

- Ależ masz to! Wszystko, co moje, jest i twoje! - odparła głosem pełnym pasji, co nie uszło uwagi męża. Był delikatny i opanowany w kochaniu, ponieważ zdawał sobie sprawę, że budzi w Ankanie uczucia zupełnie jej dotychczas nie znane. Przypominała pąk kwiatu otwierający się do słońca - za nic w świecie nie chciał jej zranić ani przestraszyć. Zarazem wiedział, że powinien ją nauczyć kochać z pasją równą swojej, podobnie jak ona musi go

wtajemniczyć w arkana duchowości.

Przewrócił się nieco na bok, tak by móc patrzeć na jej twarz.

- Co uczyniłaś, by być tak doskonałą? - spytał.

- Jesteś kobietą, której obraz nosiłem w sanktuarium mojej wyobraźni bez nadziei na spotkanie jej. Jak to się stało, że cię znalazłem?

- Czy jesteś zupełnie, ale to zupełnie pewny, że to ja jestem tą kobietą, której szukałeś i że nigdy się mną nie znudzisz?

Mówiła to na wpół żartobliwie, lecz poza jej słowami kryła się powaga, co markiz wyczuwał niezawodnie.

- Odpowiem ci na to pytanie - rzekł - gdy razem doczekamy wieczności.

I znów ją całował - natarczywie, zachłannie. Była święta jak szafiry, szlachetne kamienie o ogromnym znaczeniu dla pokoju i szczęścia Syjamu.

Wtem poczuł, że usta Ankany odpowiadają mu. Zrozumiał, że jego pasja rozпалиła w niej delikatny płomień. Dziewczęce wargi rozchyliły się jak płatki kwiatu. Markiz spostrzegł, że otacza ich boskie światło, że promieniuje z głębi ich ciał...

- Kocham cię! Kocham! - szeptała Ankana. - Proszę, kochaj mnie i uczyn mnie twoją!

- Jesteś moja! - odparł. - Czczę cię i wielbię! Przysunęli się do siebie jeszcze bardziej. A kiedy markiz wziął Ankanę w posiadanie, otoczył ich niebiański blask. A pod pokładem chlupotała delikatnie woda rzeki Menam.

Następnego ranka Ankana ocknęła się bardzo wcześnie i jako że czuła się niezmiernie szczęśliwa, wysliznęła się z łóżka. Markiz spał dalej spokojnie. W świetle wpadającym przez iluminator wydawał się młodszy i przystojniejszy niż przedtem. Poczowała chęć, by podejść do toalety i sprawdzić, czy i ją miłość

przeistoczyła. Zamiast tego jednak powoli rozsunęła zasłonki i wyjrzała przez okienko.

Słońce jeszcze nie wzeszło, ale na niebie jaśniała złocista poświata. Nad rzeką unosiła się leciutka mgiełka, tworząca eteryczną aurę, tak charakterystyczną, zdaniem Ankany, dla całego kraju. Młoda kobieta wiedziała, że już wkrótce zostawią za sobą Syjam i popłyną przez chińskie Morze Południowe w stronę Hongkongu. Jak gdyby miała przed sobą mapę, potrafiła wyobrazić sobie świat, do którego się zbliżali. Była przekonana, że wraz z mężem przeżyje tam fascynującą przygodę.

Ostatniej nocy markiz obudził w niej emocje tak potężne, że uznała, iż nikt, kto ich doznał, nie może już żyć na tej ziemi. W głębi duszy przyznawała rację mężowi twierdzącemu, że powstały w jej duszy. Boskie światło było oznaką cielesnej i duchowej miłości, poszukiwanej przez wszystkich mężczyzn, lecz znajdowanej przez nielicznych. Dzięki takiej miłości artyści tworzyli wspaniałe obrazy, muzycy komponowali wielkie dzieła muzyczne, zdolne unieść widzów i słuchaczy do niebiańskich sfer. Poeci często próbowali znaleźć dla niej wyraz i niekiedy im się to udawało.

- To miłość... prawdziwa miłość! - mówiła do siebie Ankana.

Potem wzdrygnęła się na myśl, że mogła poślubić jednego z mężczyzn wskazanych jej przez ciotkę. Wówczas nigdy nie doświadczyłaby ekstazy, a nawet nie wiedziałaby, że czegoś takiego można doświadczyć.

- Dzięki ci, Boże, dzięki! - powiedziała do słońca. Nie zapomniała, że adresatem jej modłów dziękczynnych był także Budda. Była tak zatopiona w myślach, że drgnęła, gdy Osmond odezwał się z łóżka:

- Dlaczego nie jesteś przy mnie, najmilsza? Odwróciła się i pobiegła, by

rzucić się na posłanie obok niego. Gdy ogarnął ją ramionami, oczy jej zajaśniały.

- Myślałam właśnie, jakie miałam szczęście, że znalazłam ciebie - odparła.

- A ja śniłem o tym.

- Jestem tak szczęśliwa, że aż się boję - szepnęła.

- Boisz się? - spytał zdziwiony.

- To jest zbyt idealne, zbyt cudowne, by trwać... Obudzę się, by stwierdzić, że ty i jacht to tylko złudzenie.

- Powinnaś powściągnąć wodze wyobraźni - rozkazał. - Muszę nauczyć cię, kochanie, ufać mi i nigdy nie tracić wiary w moją miłość. A także nie zapominać, że należysz do mnie.

Ankana mocniej przywarła do męża.

- Mamy razem tyle rzeczy do zrobienia - rzekła miękko. - Czy jednak może być coś bardziej ekscytującego niż to, że myślimy tak samo...? Kiedy jestem blisko ciebie, jak teraz, wszystko inne traci ważność...

Markiz nic nie powiedział, więc kontynuowała:

- Jesteś wielki i możny... lecz żadna z tych rzeczy nie ma znaczenia i kochałabym cię dokładnie tak samo, gdybyśmy musieli żyć w namiocie lub szałasie... i gdybym nie mogła pozwolić sobie na nowe suknie!

- Szczerze mówiąc, myślę - roześmiał się markiz - że po pewnym czasie czułabyś się tym bardzo sfrustrowana. Ale wiem, co chcesz wyrazić, mój skarbie, albowiem czuję to samo. - Umilkł, a po chwili znów mówił: - Niemniej przyjemna jest świadomość, że możemy sobie pozwolić na komfort i że istnieje tyle pięknych rzeczy, które będę mógł ci podarować, jeżeli w końcu wrócimy do Anglii.

Spostrzegł, że jest ciekawa, co ma na myśli, wyjaśnił więc:

- Przede wszystkim konie. Twój ojciec powiedział mi, że jesteś wspaniałą amazonką, ale ja nigdy jeszcze nie widziałem cię na koniu. - Uśmiechnął się i powiedział: - Mam jednak przeczucie, że podobnie jak wszystko inne również jazdę konną będziemy uprawiali razem.

- Nie mogłabym sobie wymarzyć wspanialszego prezentu aniżeli przepyszny koń, ujeżdżony przez ciebie - wykrzyknęła.

Markiz musnął ustami jej czoło.

- Przestań zaprzątać sobie głowę przyszłością - rzekł. - Wszelkie bale, przyjęcia, a nawet sam pałac Buckingham przestaną cię mierzyć, gdy będziemy tam bywać razem. - Ucałował jej mały nosek. - Będziemy mogli śmiać się z tych, dla których takie rzeczy są najważniejsze, i wymykać się do swojego domu, nawet jeśli to miał być, jak powiedziałaś, namiot albo szałas.

- Zrozumiałeś! - wykrzyknęła. - Och, kochany Osmondzie, zrozumiałeś, że jedynie to się liczy.

- W tej chwili liczy się dla mnie wyłącznie moja zachwycająca, moja podniecająca żona i nasz miodowy miesiąc. Nie to, co będzie potem.

- Jak mam sprawić, by ten miesiąc był niepowtarzalny i niezapomniany?

- Już to sprawiłaś - odparł i pocałował ją. I całował potem zachłannie, dopóki mu nie odpowiedziała. Wtedy jego usta stały się gorętsze i natarczywsze. Po raz pierwszy w Ankanie obudziła się namiętność. Serce jej zaczęło gwałtownie bić.

- Kocham cię... Kocham! - krzyczała.

- Daj mi siebie - błagał markiz. - Chcę, byś całkowicie i bez reszty była moja.

- Jestem twoja... twoja... całym sercem i całą duszą.

- I ciałem - prosił. - Twoim uroczym, słodkim, zachwycającym maleńkim ciałem.

- Ono też jest twoje... Och, kochany... miłuję cię. Chcę...być twoja... bez reszty... absolutnie twoja.

A gdy słońce przez świetlik wniknęło do wnętrza kabiny i otoczyło ich promieniami, kochankowie wstąpili razem w żar słonecznego ogniska.